Nr. 34. Lwów, Niedziela dnia 20. Sierpnia 1876 r. Rok III.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XXXIII.

Jeszcze o księgarniach wędrownych.

Dwa lata temu zaraz w pierwszych numerach naszego wydawnictwa poruszyliśmy na tem miejscu kwestję wędrownych księgarń; dziś znowu do niej powracamy, myśl tę bowiem uważamy za nader ważną i pożyteczną dla naszego społeczeństwa.

W nieszczęsnem naszem położeniu jedynym środkiem okazania narodowej żywotności — jest literatura. Mickiewicz powiedział: „O pieśni gminna, tyś arką przymierza, między staremi, a przyszłemi laty“ — my zamiast wyrazów „pieśni gminna“ położylibyśmy w obecnych stosunkach „literaturo“. Słowo żywe zeszło na drugi plan. teraz zastąpiło je piśmiennictwo. Nie dziw też, że wszyscy ludzie dobrze myślący, do jakichkolwiek należą przekonań politycznych, wołają ciągle: podnieść oświatę, podnieść literaturę. Mimo tych ciągłych nawoływań oświata rozszerza się nader powoli, a literatura nie prosperuje. Czegoż to skutkiem? Bezmyślnej apatji ogółu. Ludzi chcących pracować u nas bardzo mało, a i tych nielicznych zniechęca nietroszczenie się o nic ogółu. Apatja jest jedną z najzaraźliwszych chorób duchowych, udziela się niejako przez powietrze. Wszystko, co się robi u nas na polu oświaty i literatury zawdzięczać mamy nielicznej garstce wytrwałych pracowników, którzy z prawdziwem zaparciem się siebie walczą ze wszelkiemi przeszkodami, byle tylko przyczynić się do duchowego rozwoju narodu, bo w tem nasze zbawienie.

Literatura tylko wtenczas może świetnie się rozwijać, jeżeli zajmują się nią masy. Bez znacznej ilości ludzi chcących czytać, literatura upaść musi, po pierwsze dla tego ponieważ nikomu się nie chce pisać skoro nie ma dla kogo, a powtóre brak czytelników powoduje także brak wydawców. Któż może żądać, aby u nas był wielki ruch wydawniczy, skoro nikt książek nie kupuje? — Wyrażenie to trzeba brać prawie literalnie.

Jak to czy w Galicji brak już zupełny czytających? Tak źle jeszcze nie jest i być nie może, ale wiemy, że stanowią oni bardzo mały procent inteligentnej ludności. Czytają i kupują książki po większej części ludzi biedni i średniej zamożności, pracujący ciężko na kawałek codziennego chleba, a bardzo mało stosunkowo czytają właściciele ziemskich posiadłości, którzy właśnie dla tego, że są po większej części wykształceni i zamożni powinni dostarczać jak największego kontyngensu czytelników. Prawie nie do uwierzenia, a jednak prawdą jest, że bardzo wiele znajduje się u nas posiadaczy obszernych wiejskich majątków, których na cały rok wystarczającą lekturą jest — kalendarz. A jednak każdy z nich skończył jakie takie szkoły i ma pretensję do nazwy wykształconego człowieka, choć nie ma wyobrażenia, co się w świecie dzieje, jakie duch ludzki poczynił postępy, jakie sprawy zajmują ludzkość itd. Głównym tego powodem jest nieszczęsna nasza wada — lenistwo. Nie jeden w wolnych od zatrudnień chwilach chętnie by co przeczytał, ale cóż? — aby dostać czasopismo lub książkę, trzeba napisać do księgarza lub wydawcy, posłać pieniądze na pocztę, a to taka ciężka praca! Lepiej wsiąść na wózek i pojechać do sąsiada na preferansa! To cośmy powiedzieli nie stosuje się tylko do mieszkańców wsi, ale także i do inteligencji tych miasteczek, w których ma księgarni. Nie jeden z chęcią by kupił książkę lub zaprenumerował pismo, gdyby mu je do domu przyniesiono, ale żeby jeszcze o to pisać musiał, to uważa za zanadto wielkie poświęcenie.

Dla tego też księgarnie wędrowne oddały by u nas wielką przysługę tak tym wygodnickim czytelnikom *in spe*, jak i literaturze, któraby przez nie rozprzestrzenioną została. Narod nasz potrzebuje bardziej oświaty, niż kwiat deszczu podczas spieki, należy więc ją energicznie wszystkimi lojalnymi środkami rozprzestrzeniać. Gdy chory z uporu nie chce przyjąć przyjemnego nawet lekarstwa, należy mu je zadać siłą, a pewnie wdzięcznym za to będzie. Oświata jest jedynym uniwersalnym lekiem na wszystkie nasze choroby społeczne, rozszerzajmy ją, a zasłużymy się dobrze ojczyźnie.

Księgarnie wędrowne, oprócz rozszerzania zamiłowania do literatury ojczystej, miały by jeszcze drugi, równie ważny i patrjotyczny obowiązek do spełnienia, a mianowicie wyrugować niemieckie wydawnictwa, których się tak wielka ilość między naszą publicznością rozchodzi. Niemieccy wydawcy uzyskali w Galicji tak wielką ilość prenumeratorów na swoje illustrowane i nie illustrowane banialuki za pomocą systematycznej kolportaży. Należy ich pobić własną ich bronią. Leży to w interesie naszych wydawców i literatury ojczystej.

Kończąc to nasze krótkie przypomnienie potrzeby zaprowadzenia księgarń wędrownych miło nam zanotować, iż myśl ta coraz więcej zyskuje uznania tak w kołach tutejszych księgarzy i wydawców, jak i między szeroką publicznością. Poczyniono już nawet próby, o których niech nam będzie wolno na teraz zamilczeć i wkrótce spodziewać się należy, że zaprowadzenie wędrownych księgarń, które się tak wiele przyczyniły do rozszerzenia oświaty i zamiłowania literatury za granicą, będzie u nas faktem dokonanym. Oby to jak najrychlej nastąpiło!

Pierwszy u mety.

Nowella.

II.

(Ciąg dalszy.)

List pana Stefana traktował o przedmiotach wielce racjonalnych i praktycznych: o gospodarstwie, o bliskich żniwach, o spodziewanym urodzaju, o psujących się kartoflach, o nowej metodzie sadzenia rzepaku i tp. Pan Stefan uważał siebie za wielkiego gospodarza — całemi miesiącami przesiadywał za granicą na jakichś studjach agronomicznych. Sąsiedzi mimo to szeptali sobie do ucha, że gospodarstwo jego w najgor-

szym znajduje się stanie, że panuje w niem nieład, (pan Stefan siedząc za granicą, nie mógł sam go doglądać,) że więcej kosztuje niż przynosi, że wkłady są zbyt wielkie, że ekonomowie go kradną, i rokowali mu bliskie bankructwo — w oczy jednak uchylali głowy przed jego wiedzą, chwalili jego pomysły, pytali o rady, nazywali go luminarzem gospodarstwa krajowego i wybierali zawsze na delegata lwowskiego towarzystwa agronomicznego. Pan Stefan chociaż wiedział co o nim mówili sąsiedzi po za oczyma, śmiał się z nich, kładąc wszystko na karb drobnej zawiści sąsiedzkiej i małodusznej „powiatowszczyzny" i obiecywał ich wszystkich kiedyś „nauczyć rozumu." Miewał jednak pan Stefan niepowodzenia w gospodarstwie, które go niecierpliwiły i gniewały. I tak donosił teraz, że kupił świeżo nowego systemu wyborną żniwiarkę i siewnik, żniwiarka jednak miała tę wadę, że nie chciała żąć, a siewnik popsuł się za pierwszym razem i nie było go komu naprawić. Uskarżał się więc pan Stefan na brak fachowych rzemieślników po wsiach i obiecywał zrobić w tym względzie początek u siebie, sprowadzając dwóch mechaników z Anglji. List swój kończył temi słowami:

„Żniwa i w tym roku będą się musiały odbyć bezemnie. W przyszłym miesiącu bowiem jadę za granicę po nowe doświadczenia gospodarcze. Z miesiąc jaki przepędzę na wyspie Rugji, w dobrach księcia Putbus, słynnego agronoma, a potem na kilka miesięcy kopnę się do Belgji. Człowiekowi praktycznemu jak ja, niepodobna wytrzymać długo w kraju, w którym jedna połowa ludzi od dwiestu lat stoi wciąż na tem samem miejscu, niczego nauczyć się nie chce i jeszcze chełpi się z tego, a druga połowa składa się z takich nieporadnych mazgajów, bezpłodnych marzycieli i fantastów jak ty, mój Jędrusiu. Dla pierwszych nie ma lekarstwa — niech wymierają, dla drugich jest tylko jedno: rozsądna żona. Ale czy to warto mówić ci o tem? Gdybym nie wiedział, że to by z mojej strony było głupstwem, sam bym się ożenił dla twojego przykładu, ażeby ci pokazać, że to nie taka wielka sztuka, ale trzeba się umieć zabrać do tego! Widziałbyś jak bym ja to potrafił! Za żonę wziąłbym tylko jasną blondynkę, tak jasną... jak ta nasza nieznajoma z wyścigów — dlatego aby nie potrzebowała na starość farbować sobie włosów Wiesz... przez dwie nocy śniła mi się nasza biała blondyneczka. Gniewałem się za to na siebie i na złość postanowiłem, że odtąd śnić mi się będą same tylko brunetki. Tobie bym jednak życzył blondynki.

Twój

Stefan."

Pan Jędrzej przeczytawszy list uśmiechnął się melancholicznie, zamyślił się kilka minut, potem zawołał na Fedia.

Fedio zjawił się w progu.

— Czemu nie zapalasz świecy? Pewnieś zapomniał kupić świec we Lwowie.—Prawda gapiu?

— Nikt mi nic nie mówił — odparł Fedio drapiąc się w głowę.

— Tobie wszystko trzeba przypominać ja sam muszę o wszystkiem pamiętać, zaprzęgaj konie, pojadę do Lwowa.

Fedio stanął jak wryty. Sądził że mu się chyba przesłyszało. Dotąd jeszcze nigdy pan sam nie jeździł po świece do Lwowa, a do tego w nocy. Stał więc zagapiony, nie wiedząc co począć.

— Słyszałeś? idź zaprządz konie, pojadę do Lwowa! — powtórzył pan Jędrzej.

Fedio ocknął się dopiero i wyszedł spełnić rozkaz.

W pół podziny później, w noc cichą, jasną, miesięczną, wśród pól srebrzących się przy księżycu, przy odgłosie dalekich fujarek pastuszków pasących bydło w nocy, białym gościńcem, pędził wózek zaprzężony parą srokaczów—w nim siedzieli pan Jędrzej i Fedio.

Na ganku garwolinieckiego dworu stała pani Gwizdalska, i żegnała się raz po raz jak przed złym duchem, patrząc za odjeżdżającym wózkiem.

III.

Minęło kilka miesięcy. Na niebie zapanowała jesień słotna, z wichrami i deszczem, a w dworze Garwolinieckim na przekór kalendarzowi wiosna — formalna wiosna. Pan Jędrzej, pomimo licznych interesów, które go teraz coraz częściej powoływały do Lwowa, był w dobrym humorze, nie skarżył się jakoś ani na interesa, które go zmuszały do tak częstego wyjazdu z domu, ani na słotę towarzyszącą tym wyprawom, ani na złą drogę. Pani Gwizdalska zrazu dziwiła się, lecz przekonawszy się po niejakim czasie, że to się na nic nie przyda, przestała się dziwić, nawet wyszukanej uprzejmości, jaką od pewnego czasu otaczał jej osobę pan Jędrzej. Stosunki ich naprężone przez pewien czas w skutek niebacznie przez pana Jędrzeja wypowiedzianego zdania o historycznej doniosłości owego legendarnego przed czterdziestoletniego wesela u nieboszczki pani kasztelanowej, wyjaśniły się znów zupełnie i i pan Jędrzej teraz sam dobrowlnie co objadu badał panią Gwizdalskę, o najdrobniejsze szczegóły tego wiekopomnego zdarzenia. Ten tryumf przejmował oczywiście czcigodną matronę niepomiernem zadowoleniem i przyczyniał się wielce do jej dobrego humoru. Tak więc zapanowała w Garwolińcach powszechna harmonja, spokoj, zadowolenie i nawet Fedio, pod tym arkadyjskim wpływem zdawał się zmieniać powoli swój sceptyczny sposób myślenia.

Podano właśnie objad. Na dworze lał deszcz jak przed potopem. Pan Jędrzej mimo to był w dobrym humorze i po sztukamięsie odezwał się wesoło:

— No, pani Gwizdalska, cóż tam słychać nowego?

— Co pan o to mnie pyta. Albo ja tam wiem kiedy co „ciekawego" albo co „nowego"?—odparła pani Gwizdalska z napół figlarnym przekąsem, robiąc widoczną alluzję do owego nieszczęśliwego wyrzeczenia pana Jędrzeja.

— No, no, pani Megera, proszę tylko nie chimerować — odparł pan Jędrzej śmiejąc się wesoło.

„Pani Megera" był to czuły przydomek udzielany pani Gwizdalskiej przez pana Jedrzeja w przystępach szczególnie dobrego humoru, w którym pani Gwizdalska upatrywała snać miano jakiejś sławnej z wdzięków i miłosnych zwycięstw dziewicy starożytności, za każdym bowiem razem spuszczała w dół oczy wstydliwie a pana Jędrzeja wprawiało to zawsze w większą wesołość. I tym razem rozśmiawszy się głośno, zapytał:

— No, pani Megera, jak to tam było na tem weselu u nieboszczki kasztelanowej?

— E, co pana obchodzi wesele u nieboszczki kasztelanowej... — odparła figlarnie pani Gwizdalska.

— A dlaczegożby mnie nie miało obchodzić? Pani Megera tak ładnie opowiada.

— Kto wie, może już nie długo będzie opowiadać — odparła pani Gwizdalska znacząco z żartobliwym uśmiechem.

— Ho, ho, cóż to, pani Megera chce mnie porzucać?... A któż mnie będzie bawić przy objedzie?

— Może się znajdzie kto inny...

— Więc pani Megera zazdrośna! ktoby się był spodziewał—no, proszę! proszę! — i pan Jędrzej na tę myśl uśmiał się serdecznie.

Od pana Stefana dawno już nie było wiadomości. Ostatni raz pisał z początkiem sierpnia donosząc, że udaje się za granicę dla badań agronomicznych i że zabawi tam około pół roku. Skarżył się na przykrości i zawody w gospodarstwie, które go irytują tak, że gdyby nie był człowiekiem pozytywnym i nie umiał panować nad swojemi nerwami, łatwo mógłby popaść w mizantropję.

„Jadę więc za granicę — pisał — odetchnąć świeżem powietrzem, wykąpać się w morzu, zobaczyć nowe rzeczy, nowych ludzi, nauczyć się czegoś, przypomnieć sobie niejedno a może... może i zapomnieć."

Te ostatnie słowa wydały się zrazu p. Jędrzejowi nieco zagadkowemi. Coby takiego pan Stefan potrzebował zapomnieć? A! zapewne kłopoty i troski gospodarcze — oczywiście!

Pan Jędrzej odpisał krótko, że ma właśnie mnóstwo interesów, które go męczą i nudzę, a do tego zmuszają bywać często we Lwowie, czego nienawidzi — że mu zazdrości wyjazdu za granicę i chwali ten projekt, że sam przyłączyłby się do niego, gdyby nie był przykutym do domu. W końcu radził mu zabawić za granicą do wiosny, bo i tak pierwej nie ma czego wracać do kraju.

„Tutaj ciasno i duszno — kończył list swój pan Jędrzej — zazdroszczę ci morza, pozdrów je odemnie... to mój przyjaciel, i towarzysz wielu samotnych chwil, powiernik wielu myśli, uczuć i marzeń..."

Po tym liście pana Jędrzeja przerwała się na kilka miesięcy korespondencja między obydwoma przyjaciółmi. Pan Stefan nie dawał znaku życia, a pan Jędrzej nie wiedział dokąd ma pisać.

Tego dnia otrzymał niespodziewanie list od przyjaciela.

Pan Stefan pisał:

„Już od dwóch miesięcy siedzę bez przerwy na wyspie Rugji, w dobrach księcia Putbus. Nieustanne słoty i burze nie pozwalają mi się ztąd ruszyć. Widziałem już wszystko, co było godnem widzenia. Gospo-

darstwo *non plus ultra*. U nas i za pięćset lat takiego nie będzie. Wszystko odbywa się maszynami i parą. Niech kaci porwą tych Prusaków! Widziałem i podziwiałem wszystko, teraz chciałbym już ruszyć dalej — a tu nie sposób! Mieszkam w chacie rybackiej położonej nad morzem. Nająłem tu umyślnie mieszkanie, aby się módz dowoli kąpać w morzu i napatrzeć na jego nieskończoność. Okienko moje wychodzi na morze. Słyszę co noc ponury szum i łoskot wzburzonych fal jego, a przez cały dzień patrzę na rozhukanego olbrzyma, który bez ustanku pieni się i ryczy i szumi i jęczy i wyje. Patrzę i czekam, czy się nie uspokoi — daremnie. Ten twój „przyjaciel" coś nie łaskaw na mnie.. jest wciąż w humorze burzliwym i zawadjackim... „towarzysz" z niego wcale nieszczęśliwy... to też żyjemy ze sobą w stosunkach nieco naprężonych i jeśli mu „zwierzam," to chyba przekleństwa moje, kwasy i zły humor... On jednak zdaje się nic sobie z tego nie robić— wszystkie impertynencje z mej strony przyjmuje z obojętnością, zdolną nawet człowieka pozytywnego, jak ja, przyprowadzić do rozpaczy... Nie dziwię się że dla ciebie jest względniejszy. Podobniści bardzo do siebie Obaście jednakowi fantaści i warjaci... Odstępuję ci więc twojego „przyjaciela," „towarzysza" i „powiernika" uwolń mnie tylko od niego! to nie jest towarzystwo dla rozsądnego człowieka! W jego towarzystwie mógłbym tylko zostać takim fantastą i marzycielem, jak ty — od czego broń mnie Panie Boże! Nudzę się straszliwie. Z nudów więc będę teraz pisywał do ciebie jak najczęściej, będę ci moich rozsądnych spostrzeżeń udzielał, będę się irytował na ciebie, to mi sprawi pewną satysfakcję i ulgę, a ciebie może nawróci i opamięta... Na dziś bywaj zdrów. Wolałbym abyś ty był tutaj, a ja w Garwolińcach."

Pan Stefan dotrzymał udzielonej powyżej panu Jędrzejowi obietnicy częstej korespondencji, do czego dopomogły mu niezawodnie nudy, jakich musiał doznawać na swem przez wpół dobrowolnem wygnaniu. Za dowód mogą posłużyć następujące urywki z listów, które w stanie nieco fragmentycznym znalazła niedawno pani Gwizdalska na strychu garwolinieckiego domu i pod sekretem zakomunikowała niżej niepodpisanemu.

Oto są:

„. . . . Nudzę się wciąż straszliwie. Na nieszczęście nie mam ze sobą żadnych książek, prócz kilku dzieł gospodarczych, które już umiem na pamięć, a posyłać po książki nie chcę, bo i przewóz trudny, i nie wiem, jak długo tu jeszcze zabawię. Mam więc dobrą sposobność do monologów i czas do rozmyślania. Myślenie zaś bezcelowe do niczego mądrego nie prowadzi. To dobre dla marzycieli, jak ty—człowiek praktyczny i rozsądny musi w takim razie zgłupieć. Doświadczam tego na sobie. Przychodzą mi nieraz do głowy jakieś rojenia niedorzeczne, jakieś myśli wybujałe, jakieś zachcianki, jakieś głupie wspomnienia z głupich lat... przypominają się rzeczy, o których zapomnieć by się zdało... Opędzam się temu jak mogę, ale gdzietam! ani się opatrzysz, a już ci znowu brzęczą w głowie jak muchy natrętne... Nie ma nic gorszego jak myśleć o sobie... wtedy się nigdy nic mądrego nie wymyśli. . . . "

(reszty listu brakuje)

„. . . . wiatr świszcze i mewy krzyczą. Z morzem zaczynam być na lepszej stopie. Przyzwyczajam się powoli do jego kwaśnej zgryzliwej fizjognomji, jak do starego gdery. Wybaczamy już sobie nawzajem nasz zły humor. Temi dniami zrobiłem znajomość, nie pojmuję dla czegom jej pierwej nie zrobił. Chata, w której mieszkam należy do familji rybackiej, złożonej ze starego rybaka, jego żony i syna drągala z fizjognomią kretyna, z jasno rudemi włosami, szklannemi wytrzeszczonemi oczyma i z wiecznie rozdziawioną gębą. Mimo tej niezalecającej powierzchowności jest on jednym z najdzielniejszych i najpracowitszych rybaków — całe dnie przepędza na morzu. Nazywa się Fritz. Kilka dni temu, przypatrując się jak rozciągał siecie na brzegu, rozpocząłem z nim rozmowę. Dowiedziałem się że za kilka tygodni ma się żenić z córką mieszkającego opodal rybaka. Na zakochanego nie wygląda wcale, a kiedym go zapytał czy bardzo kocha swoją narzeczonę, zrobił minę tak głupią, jak gdyby pierwszy raz o czemś podobnem słyszał, rozdziawił gębę od ucha do ucha i odrzekł po krótkim namyśle: „nie!" — „dlaczegóż się żenisz?" — zapytałem, „bo tak wszyscy robią" — odpowiedział na to. Piękny Adonis!..."

„. . . . Narzeczona Fritza nazywa się Jenny. Poznałem ją wczoraj. Ten bałwan weźmie bóstwo za żonę! Dziewczyna prześliczna: średniego wzrostu, smukła włosy ma jasne jak... jak nasza blondyka z wyścigów, ale za to oczy ma niebieskie, spokojne i nie tak ciekawe... Od pierwszej chwili byliśmy z sobą tak, jakbyśmy się znali od Bóg wie jak dawna. Zapytałem ją: „Jenny wszak za kilka tygodni idziesz za mąż?" — „Tak, panie" — odpowiedziała. „Za Fritza?" — „Tak, panie," — „I kochasz go?" — Popatrzyła na mnie oczyma zdziwionemi, trochę podobnie jak Fritz, bez najmniejszego zakłopotania — i zamyśliła się chwilkę i odparła: „Ja nie wiem... ale on mi się podoba." — „Dlaczego ci się podoba?" — „Bo nikt tak dobrze nie wiosłuje jak on i nikt tyle śledzi nie łapie."—Tak pojmują tu ludzie miłość! A jednak — ten gap, który się żeni dlatego „bo wszyscy tak robią" i ta mała, która kochanka swego uwielbia za to, że najwięcej śledzi łapie — oni będą szczęśliwi!... A my — my ludzie cywilizowani, którzy w miłości szukamy gwałtem czegoś nadzwyczajnego, nadziemskiego, czegoś... czego w niej nie ma i być nie może—czyśmy szczęśliwsi z tem?... Nasza miłość głupstwem jest, urojeniem, bańką, co pryska za pierwszym chłodnym podmuchem rzeczywistości. Zamiast tak kochać, lepiej nie kochać nigdy! . . ."

„. . . . Zastanawiam się nad ludźmi, nad sobą i przekonuję się, że jesteśmy jak dzieci. Szukamy szczęścia gdzieś... Bóg wie gdzie... i wyciągamy do niego ręce, jak dziecko po gwiazdkę, co wisi na niebie — a nie widzimy, że ono tuż blisko przy nas i tylko sięgnąć po nie potrzebujemy, aby je mieć... Najgłupsiśmy wtedy zwykle, gdy się nam zdaje, żeśmy najmędrsi! Ten głupi Fritz, doprawdy mędrszym jest od każdego z nas... Napotkane szczęście porzucamy często z pychy lub z bezmyślności, podczas gdy powinniśmy chwytać je tam, gdzie nam w ręce wlazło, bo kto wie czy je kiedy napotkamy raz drugi? . . . "

(reszta listu wydarta.)

„. . . , Po com tu przybył?... Po co tu siedzę, kiedy mógłbym już wyjechać?... Od kilku dni zadaję sobie to pytanie i boję się odpowiedzieć na nie... Jakieś lenistwo mnie opanowało... jakaś ociężałość... jakaś zmora... jestem jak człowiek, którego trapi sen męczący, wie o tem że sen, i chciałby się przebudzić, i nie może... Coś mnie ztąd pędzi i coś mnie niepuszcza. Zdaje mi się, że wyjeżdżając ztąd, zostawiłbym po sobie zaklęte w te ściany, jak duchy, myśli i marzenia moje, które tu razem ze mną mieszkały, do których przywiązałem się i któreby po mnie tęskniły, a ja po nich. Wszak oprócz nich nie mam nic więcej na świecie... samotny jestem. A ty nie wiesz, jak źle człowiekowi samotnemu na świecie! Czuję, że się coś odmieniło we mnie — po głowie i po sercu pełzają mi jakby pająki. We śnie i na jawie widzę wciąż jedną twarz... twarz widzianą... i oczy, które mnie wciąż prześladują... Widzisz, Jędrzeju, jaki ja warjat! Widzisz co z człowieka rozsądnego człowieka może zrobić samotność — fantastę, marzyciela — ot takiego jak ty... Śmiej ty się teraz ze mnie, śmiej się, bom nie lepszy od ciebie... Lecz nie! nie będziesz się śmiał! Wyrwę się z tego koła zaczarowanego, przełamię ten urok... niech się dzieje co chce, czas jeszcze zostać napowrót człowiekiem rozsądnym — bądź zdrów, nie będziesz tryumfował, wyjeżdżam natychmiast... Obaczymy się wkrótce albo nigdy..."

Na tem kończą się znalezione urywki listów pana Stefana. (D. n.)

Stanisław Moniuszko.

W roku, który poprzedził uroczystość 300 letniego jubileuszu Kopernika, zgasł jeden z najgenjalniejszych kompozytorów polskich, a stutysięczny tłum odprowadzał go do grobu z okazałością rzadko przedtem widywaną w Warszawie. W Panteonie naszej sławy obok imienia Chopina, zapisaliśmy drugiego księcia harmonji polskiej, Stanisława Moniuszki. A Polska głośno manifestując swój żal, przypomniała się rzetelnej cywilizacji, i wskazując na poranione łono swoje, zdolne jeszcze wydawać potęgi tej siły, nakazała tem samem cześć dla swego imienia.

W Warszawie ogłoszono niedawno prospekt na „Album niewydanych dzieł Moniuszki" pod redakcją J. Karłowicza, w skład którego wejdą wszystkie utwory mistrza dotąd jeszcze nie wydane lub całkiem wyczerpane w handlu. Zbiór ten szacowny ma utworzyć 4 śpiewniki, co z dawniejszemi uczyni 10. Obecnie wychodzi *siódmy śpiewnik domowy*. Cały dochód z wydawnictwa przeznaczony na korzyść wdowy i dzieci nieśmiertelnego kompozytora.

Ta ważna okoliczność, stawiąca imię Moniuszki na porządku dziennym, podała nam myśl naszkicowania jego postaci. Znamy wszyscy kompozytora, ale nie znamy drugiej jego połowy,

czysto ludzkiej, również doskonałej jak artystyczna.

W tej pracy będziemy posługiwali się znakomitą biografją naszego wieszcza muzycznego, napisaną z prawdziwym talentem i gruntownością przez Aleksandra Walickiego w Warszawie pt. „Stanisław Moniuszko.“ Autor, znany recenzent muzyczny oraz najbliższy przyjaciel i wielbiciel Moniuszki, zebrał w tem dziełku najwybitniejsze i najciekawsze szczegóły i odtworzył z nich, rzec można, żywą postać mistrza. Każdy komu drogą jest pamięć wielkiego człowieka, powinien się poznać bliżej z tą pracą.

Moniuszkowie wywodzą się od dwóch braci rycerzy Moneo, przybyłych z Rzymu do Polski w XV wieku, którzy dobrze zasłużywszy się stronie zwycięzkiej w ówczesnych rozterkach krajowych, dostali w nagrodę indygenat z nazwiskiem Moniuszków i herb Krzywdę. Osiedliwszy się w ziemi Bielskiej województwa Podlaskiego, dali początek licznej rodzinie. Najciekawszą z pośród niej postacią i najbliżej nas obchodzącą, jest dziad naszego kompozytora, Józef Stanisław Moniuszko, który w 1750 r. w młodym wieku porzucił Podlasie i przeniósłszy się na Litwę, z niczego dorobił się ogromnego majątku i został właścicielem dóbr Smiłowickich. Pan sędzia wojskowy, taki urząd bowiem piastował Józef Stanisław, należy bezsprzecznie do owych szlacheckich postaci, które za prawdziwe filary narodu polskiego uważać wypada. Powszechnemi przymiotami tego nieoszacowanego typu były: uczciwość, rzetelność, gościnność, religijność i niesłychane przywiązanie do ziemi ojczystej.

Pan sędzia jak na wiek swój, wcale wykształcony, zwykle jednak tak się odzywał do swej żony, gdy się ta zbyt troszczyła o postępy w naukach dzieci:

— Uspokój się, moja dzieweczko, nie tyle troskaj się o to, żeby twe dzieci były uczone, ile staraj się, żeby były uczciwe.

Gościnność jego miała w sobie coś biblijnego, bo nie tylko ją stosował do ludzi, ale i do zwierząt. Następujące zdarzenie lepiej ją określi. Raz jeden z synów sędziego podkradł się do wron, które wieczór sadowiły się na drzewach dworu Smiłowickiego, i wystrzelił do śpiących. Wielce to pana sędziego ubodło i zmartwiło. Zawoławszy syna skarcił go, mówiąc pomiędzy innemi:

— ...Kiedy ja bezustannie proszę Boga, żeby się wszystko do mnie garnęło, ty mi podejściem odstraszasz i wygubiasz te stworzenia, które się pod moją opiekę schroniły!...

Jak wzniośle pojmował obowiązki religijne maluje inny wypadek. Dwór Smiłowicki przytyka do miasteczka, zamieszkałego przeważnie przez żydów, którym sędzia bardzo wiele dobrego świadczył. Nie zważając na to, kilku żydów odpłaciło się jakąś czarną zdradą. Na wiadomość o tem, zawołał sędzia w uniesieniu do żydów:

— Bodajby wasze miasteczko piorun spalił!

Trzebaż trafu, że nie więcej jak w godzinę po tem przekleństwie, nadeszła burza i piorun istotnie w miasteczko uderzył. Sędzia zebrał włość całą i rzucił się do ratowania domostw żydowskich; a gdy wiatr poniósł pożar na dwór jego, nie uważał na robione mu perswazje i zabronił ratowania dworu, dopóki nie będzie zgaszony pożar w miasteczku. Gumno i część wielka zabudowań dworskich spłonęły. Ulżyło mu to, był bowiem przekonany, że już karę zasłużoną odbiera.

Pan sędzia miał dziesięcioro dzieci, z pośród których wyrósł po nad wszystkie cnotami i rzadkiemi przymiotami duszy, syn jego Dominik, major wojsk polskich 3go pułku strzelców konnych, w w. armji Napoleona. Powróciwszy do kraju po upadku Napoleona, major rozdzielił cały majątek na tyle - równych części, ile miał włościan, i na nich pobudował oddzielne dworki z oddzielną łąką i lasem. Założył dwie szkółki dla dzieci włościańskich: jednę dla chłopców, a drugą dla dziewcząt. Przy szkołach były gabinety naukowe, z wielkim kosztem urządzone, bibljoteka oraz lekarz i apteka. Major wszystkie dzieci w szkółce własnym kosztem utrzymywał, karmił i uczył. Nie żenił się nawet, by tem łatwiej poświęcać się dobru swych włościan. Miał też i pociechę za życia. Włościanie jego, wyszedłszy ze szkoły, byli nie tylko oświeconymi, ale nadewszystko ludźmi moralnymi; oglądano ich jako osobliwość, obok otaczających ich sąsiadów ciemnych, biednych i na pół dzikich.

Z takiego to gniazda, z ojca Czesława, kapitana strzelców konnych litewskich i z matki Elżbiety z Madżarskich Moniuszkowej, w pobliżu Smiłowiec, w majątku Ubiela 3go maja 1819 r. przyszedł na świat nasz S t a n i s ł a w. Był on jedynakiem, Czesławowie prócz niego innych dzieci nie mieli.

Lata dziecięce przyszłego wieszcza upływały pod troskliwem okiem rodziców, którzy pierwszych wiadomości naukowych sami mu udzielali. Ojciec jego był to człowiek światły i światowy, nawet po troszę artysta; lubił namiętnie rysunek, i z upodobaniem mu się oddawał, a nawet malarstwem się zajmował. Ścisłe węzły łączyły go z Walentym Wańkowiczem i Janem Damelem, najznakomitszymi podówczas malarzami na Litwie. Początków muzyki uczył się u swej matki, która dość biegle grała na fortepjanie, i nieźle śpiewała. Od niej to się wyuczył „Śpiewów historycznych,“ i wszystkie je na pamięć umiał. Zresztą wychowanie początkowe znakomicie wypełniało towarzystwo światłych stryjów, a często progi Ubielskiego dworu oglądały ówczesną znakomitość muzyczną na Litwie Piotra Karafę Korbuta, który grał na dwudziestu cztérech instrumentach. Grywane u stryjów i rodziców teatry amatorskie, rozwijały w nim zawczasu pojęcia o scenie. Dzieckiem jeszcze pisał komedyjki, które po ukazaniu kolegom natychmiast niszczył.

Ale co najwięcej wpłynęło na wyrobienie w nim oryginalności kompozytorskiej, to niezaprzeczenie zetknięcie się z ludem w wieku młodocianym. Dobry stosunek rodziców i stryjów z włościanami, nastręczał mu często sposobność słyszenia przy rozmaitych obrzędach, śpiewów ludu naszego. Ztąd to w wielu jego kompozycjach zdaje ci się, że słyszysz melodje ludu litewskiego, chociaż w rzeczywistości przejmował się tylko ich duchem i rytmem. Legendy i podania ludu pierwsze pobudziły jego twórczą wyobraźnię. Dusza jednak mistrza lgnęła przedewszystkiem do żywiołu staroszlacheckiego. Spoglądając okiem poety, umiał on niem dopatrzyć stron najpowabniejszych i dla tego podnosił go później do ideału w swych kompozycjach. Ale bo też prawdę powiedziawszy, to co go otaczało, zasługiwało istotnie na cześć taką.

Nie bez wpływu na nim pozostały trzy lata przepędzone w tym wieku w Warszawie. Tam uczył go muzyki słynny organista August Freyer, dzisiaj profesor Instytutu muzycznego Warszawskiego, a zwykłymi gośćmi jego rodziców byli: jenerał Józef Kopeć, Joachim Lelewel i Juljan Korsak.

Stan majątkowy rodziców z każdym dniem więcej podupadał, w skutek hojności prawdziwie pańskiej ojca, co zmusiło go do powrotu na Litwę. W r. 1831 Stanisław zaczął chodzić do szkół w Mińsku litewskim, gdzie muzyki uczył się u wcale miernego nauczyciela Dominika Stefanowicza, najlepszego fortepianisty podówczas w tem mieście. We trzy lata później doszedł był już do szóstej gimnazjalnej, lecz gdy podczas wakacyj zachorował, rodzice obawiając się o zdrowie jedynaka, kończyć mu szkół nie pozwolili.

Nie przeszkadzało mu to wszakże kształcić się dalej w naukach i literaturze. Aż do ostatnich chwil życia, bardzo wiele czytywał, co mu z łatwością przychodziło, bo prócz rodowitego znał dobrze języki: łaciński, francuski, niemiecki i rossyjski. Wrodzona bystrość umysłu jakoteż wielkie oczytanie wyrobiło w nim dziwnie trafny sąd o rzeczach. Każdy utwór poetycki, literacki, artystyczny najpierw mu pokazywano dla zasięgnięcia rady i zdania. Najdrobniejszy brak harmonji, czy to w pojęciu, czy w myśli lub wyrażeniu, w lot pochwytywał i natychmiast wykazywał. Sam zresztą miał niepospolity dar do pisania, a to nietylko prozą, lecz i wierszem. Będąc jednak niesłychanie skromnym, zaraz po napisaniu niszczył wszystkie swoje próby poetyckie. Nieraz go dotknął jaki pokątny pamflecista; wtedy przyjaciele doradzali mu, aby użył siły własnego pióra, lecz mistrz na to odpowiadał:

— Polem walki mojej, pięć linij muzycznych. Jeżeli na nich stanowiska sobie nie wywalczę, i przeciwników do odwrotu nie zmuszę, to napróżnobym się kusił dokazać tego na innem polu.

Literaturę polską znał doskonale, a Mickiewicz był dla niego szczytem wszystkich poetów, i zawsze się obrażał, skoro usłyszał, że porównywano go ze Słowackim. Teatr lubił namiętnie, i był niepospolitym znawcą sceny. Znał wszystkie najlepsze sceny europejskie. Na ostatku był znawcą i wielkim miłośnikiem malarstwa; w domu miał mnóstwo obrazów i rysunków, niektóre nawet większej wartości.

(Dok. nast.)

POGADANKI.

XXXIII.

Ze wsi.

Kiedy już Zews przestał władać na Olimpie, a Apollon na Parnasie, zapanowało ogólne rozprzężenie w świecie bogów. Wulkan, wyśmiewany niegdyś i wzgardzony, zá pomocą młota swojego i ognia, wdarł się w dziedzinę starszych rangą kolegów swoich, cieniutkim drutem ubezwładnił i ujarzmił pioruny swojego rodzica, rozkopał sklepienie nad pałacem Plutona i dobrał się do jego skarbów, a z wody dręczonej ogniem stworzył potęgę urągającą Neptunowi i wiatrom Eola. Za przykładem bogów poszły i boginie, i tak np. Wenus wydarła Djanie jej atrybucje i przywłaszczyła sobie wyłączne prawo przemieniania ludzi w jelenie. Zbuntowały się nakoniec i Muzy, skazane na wieczne dziewictwo, i powychodziły za mąż. Talia i Melpomene oddały rękę — hrabiom galicyjskim, a poważna Klio została żoną Merkurego, boga kupców, poczmistrzów i miło-

śników aneksji. Rozgniewany Apollon przeklął ten związek, a klątwa jego spadła na potomstwo, pochodzące z takiego mezaliansu. Potomstwem tem zaś jest naród dziennikarski, skazany na podwójną i sprzeczną w sobie służbę matki swojej, Muzy piszącej dzieje, i ojca, frymarczącego wełną, zbożem, akcjami itd. uganiającego koleją żelazną, wyprawiającego wieści telegrafem, i wszelkiemi innemi sposobami przenoszącego cudzą własność do swojej kieszeni.

Kiedy chłód i niepogoda zamykają ludzi w mieszkaniach, klątwa ta nie daje się jeszcze czuć tak mocno. Ale kiedy słońce i zieloność wabią w pole, w las, na wieś, straszny wyrok syna Latony cięży na nas dziennikarzach, jak niegdyś pociski jego na wojsku Greków. Horacyuszowskie *Beatus ille*, zastosowane do nas, staje się gorżkiem szyderstwem. Rozkosze *villegiatury* stają się dla nas urojeniem: ojciec Merkury ściga nas bowiem w najodleglejszym nawet zakątku za pomocą stacji telegraficznej i pocztowej, i domaga się od nas haraczu na alimentację dla mamunci Muzy. Nic dziwnego, że skazana na tak skąpe utrzymanie, wygląda nieboga coraz gorzej i ani trochę już nie jest podobną do bogini, której służyli Herodot, Tukidyd, Sallustyusz i Tacyt. Jest to obecnie chuda jejmość, zamiast rylca piastująca ogromną pakę makulatury, a zadaniem jej kapłanów jest powiększać tę pakę bez wytchnienia i wypoczynku, póki ostatnie włókienko na ziemi nie przemieni się w zadrukowany papier, i póki ostatnia kropla atramentu nie zaschnie na ostatnim kawałku stali, przekutym na pióro. Nadaremnie nieszczęsny taki kapłan ucieka jak może najdalej od tej fabryki — wszędzie ściga go nieubłagany Hermes i powtarza: „Wypoczywasz, a więc masz czas, i spodziewam się, że skorzystasz z niego, aby co napisać.“ I nieszczęśliwy, z zazdrością spogląda przez okno na kupców, urzędników, lekarzy, wojskowych itp. którym wolno bawić się strzelbą i wędką, wolno nie mieć czasu do zatrudnień swojego zawodu, nie zabierać z sobą wszędzie handlu, kantoru, biura, pacjentów i rekrutów — pióro i papier ściga go w każdym czasie i na każdem miejscu, a groźna postać zecera ściga go o dwadzieścia mil od drukarni w postaci posłańca, który czeka na listy i odnosi je na pocztę. O lekkomyślna córo Parnasu, czemu nie zostałaś panną bezdzietną, albo skoro koniecznie chciałaś iść za mąż, czemu nie oddałaś ręki jakiemu mniej dokuczliwemu i mniej niestrudzonemu kawalerowi z pomiędzy Olimpijczyków? Albo i ty, ojcze, skoro pozwalasz odpoczywać twoim kupcom i twoim złodziejom, dla czego nam jednym odmawiasz chwili wytchnienia?

Cierpimy my z tego powodu, ale i wieś cierpi. Nie dość, że psy podejrzane o wodowstręt, muchy, komary i znarowione konie odejmują jej trzy czwarte części naturalnego jej powabu, jeszcze co rana poczta z kilkoma arkuszami papieru przywozi sporą część kurzu, gwaru i niepokoju miejskiego. Dokąd nie dojedzie połamana dorożka, dokąd nie wiedzie zły bruk i niedowieje woń Pełtwi, tam jeszcze gazeta ściga człowieka i każe mu używać w imaginacji wszystkich tych wątpliwych dobrodziejstw ruchu i postępu. I tak, codzień z czterech aż pism lwowskich dowiadujemy się tutaj, że niema nic nowego, a w poniedziałek, wolny od innych gazet, dowiadujemy się nadto ze *Szczutka*, że nie ma nic wesołego ani dowcipnego, ale będzie nam kiedyś bardzo wesoło, gdy zarówno z Serbami zaufamy idei braterstwa słowiańskiego pod opieką nadwołżańskiej macierzy. *Szczutek* stał się też od pewnego czasu ulubioną lekturą koryfeuszów świętojurskich, i wraz z *Tagblattem* i *Słowem* stanowi pokarm duchowny tej miłej cząstki społeczeństwa galicyjskiego, która z niego czerpie nadzieję i otuchę, że kiedyś nie będzie już Polaków, Węgrów, ani Turków, i wszyscy wolni Słowianie znać będą jeden tylko język, jeden alfabet, jeden kalendarz i jednego tylko — pana. Po za tem szczupłem gronem współwyznawców „moralnej jedności“ (*nrawstiennawo adinstwa*) Słowian, piękna ta perspektywa nie uprzyjemnia nikomu zimy ani lata, wsi ani miasta. Dlatego też, skoro dzienniki albo są puste, albo zawierają tylko truciznę tego rodzaju, lepiejby było, gdyby wcale nie istniały. Potrzeba wszakże oddać słuszność przeważnej większości prasy krajowej, że jest raczej pustą niż szkodliwą, i że zuchwałe jak nigdy występowanie moskalofilstwa źle okraszonego sympatją dla „wolności ludów“ nie znajduje w niej echa i zbywane bywa milczeniem niezbyt dla agitatorów w duchu Fadiejewa zaszczytnem.

* * *

O czemże pisać ze wsi, jeżeli, nie o stosunkach ekonomicznych i społecznych? Pospieszam tedy podzielić się z czytelnikami odkryciem, które świeżo zrobiłem, i które da się streścić w słowach, iż jedną z przyczyn zubożenia kraju są — pp. lekarze. Dawniej, zamożne rodziny przepędzały lato w swoich dobrach, a zimę w mieście, gdzie dostawały się w obrót pieniądze, zaoszczędzone przez lato. Odkąd zaś wynaleziono rozmaite katary żołądka itd. i odkąd coraz więcej pacjentów i pacjentek wysyłają do wód zagranicznych dla wyleczenia ich z cierpień chronicznych, często w wyobraźni tylko istniejących, większa część tych rodzin przepędza lato zagranicą i zagranicą wydaje pieniądze, w zimie zaś dla oszczędności zostaje na wsi. Cierpią na tem kupcy i rzemieślnicy bezpośrednio, a pośrednio cierpi kraj cały. W obecnej porze, w żadnym prawie majętniejszym domu nie zastanie ani gospodarza, ani gospodyni — za to w zimie Lwów będzie pusty, jak to już bywa od dłuższego czasu. Byłoby to więc zasługą patrjotyczną ze strony medyków, gdyby się starali przekonać swoich pacjentów, że większą część wód zagranicznych można zastąpić zdrojowiskami krajowemi, a jeszcze lepiej, racjonalnem i hygienicznem życiem w domu. Ktoby sobie zadał pracę ułożenia statystycznego wykazu Polaków i Polek w Karlsbadzie, Franzensbadzie, Cieplicach, Gleichenbergu itd. przekonałby się niezawodnie, że w całej tej liczbie połowa była takich osób, które żadnej kuracji nie potrzebowały, a połowa takich, którym kuracja nic nie pomogła. Doszedłszy także, że nasze podróże do wód czeskich itd. pochłaniają w roku przeszło pół miliona złr. i że oprócz tego, wprowadzają one w zwyczaj zaopatrywanie się za granicą w wyroby przemysłu i przedmioty handlu, tak dalece, że nowo wynalezione nieżyty i zaflegmienia różnego rodzaju wyciągają nam z obrotu w kraju około miljona zlr. a więc rujnują handel i rękodzieła. Z tego wynika, że aby wyleczyć kraj z jego chorowitego stanu ekonomicznego, potrzeba koniecznie zmienić system leczenia zamożniejszych pacjentów. Przedewszystkiem należałoby ponoś przystąpić do wykorzenienia chorób, których siedzibą wyłączną jest wyobraźnia. Nawidzają one po największej części ludzi nie mających zajęcia, którym gdyby lekarz zaordynował tyle a tyle godzin roboty dziennie, zapomnieliby z pewnością o chorobie i nie dostarczaliby wątku do komedyj takich, jak *Le malade imaginaire* Moliera lub Consilium facultatis. Najlepiej byłoby mojem zdaniem, zalecić im stałe współpracownictwo przy jakiem piśmie codziennem, wykazałem bowiem powyżej że jest to zatrudnienie, przy którem człowiek najmniej ma czasu myśleć o stanie swojego zdrowia. Oby ta rada moja przerzedziła choć trochę spis gości kąpielowych w Karlsbadzie, a przysporzyła świeżych sił przerzedzonym mocno szeregom naszej publicystyki!

Jan Lam.

Kronika paryska.

Paryż. Lipiec 1876 r.

Otośmy znowu w zastoju powtarzającej się co roku letniej pory. Ucichło gwarne życie stolicy, kto mógł wyruszyć na wieś, lub nad brzegi morza, uczynił to skwapliwie i w głuchych murach Paryża, zostali tylko ci, których do tych murów przykuwają żelazne ogniwa obowiązku. Drzemie wszystko z wyjątkiem jednej polityki, która, jak gdyby nic nie było, w Izbach Wersalskich, szalone wciąż wyprawia hece. Lecz polityka, to owoc dla nas zakazany, tykać nam jej nie wolno i nie na rękę.

Zrozumiecie więc łatwo, że przy takich warunkach, przy takiej Paryża metamorfozie, daremniebyśmy w nim szukali aktualności, nowostek, rzeczy na dobie, mogących choć trochę dalekich zainteresować czytelników. Na list niniejszy stanie nam jeszcze skrzętnie pozbieranych zimowego sezonu okruchów. Ale na przyszłe?

Najlepiej widzi nam się uczynimy, zrywając w przeciągu trzech, czterech letnich miesięcy z trudnym do wypełnienia i niestosownym tytułem, „Kronika paryska,“ a posyłając wam na jej miejsce „Listy z tąd i z owąd“ traktujące o wszystkiem i o niczem, zanotowujące różne tak literackie i artystyczne, jak w ogóle wypadki, chociażby te niekoniecznie na paryskiej jawiły się scenie. Czy zgoda? Po wypełnionym więc na przyszłość programie, do wspomnianych okruchów.

Dwie małe jednoaktowe sztuczki wierszem „Fabrykant skrzypców z Kremony“ (*Le Luthier de Crémone*) p. Franciszka Coppée w Komedji Francuskiej i „Na uwięzi“ (*La corde au cou*) p. Andrzeja Gill (znanego karykaturzysty) w Odéonie sezonowi teatralnemu posłużyły finałem skromnym acz nie bez wartości.

Zacznijmy od pierwszej.

Ładny talent p. Copée nigdy może z świeższem i wdzięczniejszem nie spotkał się natchnieniem. Zaprzestając na chwilę szlochać i narzekać, jak to dotychczasowym jego było zwyczajem, od sobkowskich odrywając się bolów, młody poeta raczył na serce ogólnie ludzkie przelotnem cisnąć spojrzeniem, i w jednym serca tego zakątku istotną znalazł perełkę. Komedyjka jego nie błyszczy potężną inwencją. Nie masz w niej nader zadziwiających, nader głębokich psychologicznych odkryć i obserwacji. Jakeśmy rzekli wyżej, jeden kącik serca człowieczego przeczuty a dostrzeżone w nim rzeczy ładnym, brzmiącym i wzruszonym opowiedziane wierszem. To wszystko. Ach! mocny Boże! Wieluż to dramaturgów, w dwudziestu pięciu tragedjach po pięć aktów każda, do podobnego dojść nie może rezultatu!

Oto treść utworu.

Taddeo Ferrari, fabrykant skrzypców z miasta Kremony, ma dwóch uczniów Filippa i Sandra, i jedną bardzo ładną córkę Gianninę. Obaj uczniowie jednako szczerem pałają ku niej uczuciem, z tą tylko różnicą, iż brzydki, garbaty Filippo kocha ją bez wzajemności, a z wzajemnością ładny i smukły Sandro. Z dawien dawna egzystująca reputacja kremońskiej fabryki skrzypek ma się ku schyłkowi i Podesta, dla podtrzymania takowej publiczny ogłasza konkurs obiecując zwycięzcy złoty swój łańcuch jako sutą nadgrodę.

Staremu Taddeo także cięży na sercu to przyćmienie sławy ojczystego grodu. Za podeszły wiekiem, by osobiście ubiegać się o nagrodę, pragnie przynajmniej do ubiegania się o nią młodsze zachęcić pokolenie. Ogłasza więc uroczyście, iż zwycięzca na konkursie wraz z łańcuchem Podesty otrzyma rękę Gianniny, z nią w posagu 2000 dusiów lombardzkich. Obaj młodzi uczniowie, Filippo i Sandro konkurują naturalnie.

W ułomnem ciele Filippa wysoce artystyczna płomienieje dusza; Sandro to zdolny rzemieślnik, ale nadto nic więcej. Przy takich warunkach każdy zgaduje, iż walka jest nierówną i że Filippo musi z niej wyjść zwycięzcą. Przeczuwa to zakochana w Sandrze Giannina i po daremnych usiłowaniach odwrócenia ojca od powziętego zamiaru, decyduje się wreszcie na poufną rozmowę z Filippem, w której zwierza mu się ze swej miłości, i w której błaga go by jej szczęściu nie stawał na przeszkodzie. „Ty jeden — powiada mu ze łzami — groźnym jesteś dla biednego mego Sandra... Gdybyś ty się usunął, nagroda minąć go nie może.“

Pewny swego talentu, pewny zatem zwycięstwa na konkursie, biedny kaleka śmiał marzyć, iż blask tryumfu, i polechtana próżność zmiękczą dłań serce ukochanej... Zwierzenia Gianniny odkrywają mu oczy, wykazując mu całą nicość miłosnych jego nadziei.

Wzniosła dusza jego cierpi, lecz się nie łamie. Czuje się być zdolną poświęcenia i poświęcenie to przyjmuje. Korzystając z nieobecności Sandra, szlachetny garbus wkrada się do jego pokoju, wyjmuje z pudełka jego skrzypce a na ich miejsce wkłada swoje. Ofiara spełniona. Artysta poświęca wszystko szczęśliwemu rywalowi. Ustępuje mu wszystko: kochankę, nadgrodę, sławę. Ale los inaczej rzeczy układa.

Sandro o niczem nie wie. Przekonany o swej nieudolności w porównaniu z talentem Filippa, wie on z góry, iż nagroda ominąć go musi i ominie. Sandro nie może znieść myśli utracenia Gianniny. Robi więc rozbrat z sumieniem i nie mówiąc nikomu wieczorem, w wilją konkursu, po ciemku wkrada się *à son tour* do pokoju Filipa by na nowo raz już dopełnioną uskutecznić przemianę. Konkurs ma nieząc nazajutrz i nagroda na nim przyznaną jest Filippowi.

Wyobrazicie sobie łatwo, jakie ztąd wynika zamięszanie. Zręcznie przeprowadzona scena ogólnych wyznań przecina je szczęśliwie. Wszystko się wyjaśnia. Filippo bierze słusznie mu należną nagrodę i sławę. Co się tyczy Gianniny, to ręka jej po kilku chwilach za wstawieniem się Podesty i samego Filippa którzy łamią opór starego ojca dostaje się, jak to zazwyczaj na świecie bywa, nie zasłużonemu, lecz szczęśliwemu Sandrowi. Na takiej to kanwie p. Coppée bardzo zgrabną i bardzo dobrze odczutą zbudował komedyjkę. Dość trudny do oddania charakter Filippa udał mu się wyśmienicie. Uniknął w kreśleniu jego przesady, zbyt napuszonych frazesów, nadto wygórowanych orzeczeń. Poświęcenie wypływające z przekonania, że ta którą ukochał, szczęśliwą z nim być nie może, i że obstając przy swojem nie tylko nie zyszcze tytułu do jej miłości, lecz przeciwnie straci nawet prawo do przyjaźni, nie razi słuchacza zbytniem nieprawdopodobieństwem, zbytnią egzageracją uczuć i powoli trafia mu do przekonania. Charakter słabego Sandra odcieniowuje się także należycie. Wdzięczna postać Gianniny i rubaszna starego ojca rysują się na drugim planie. Brzmiący, pełny i wzruszony wiersz, doskonała gra aktorów pp. Coquelin (Filippo) Laroche (Sandro) Thiron (ojciec) i panny Baretty (Giannina) dopełniają reszty. Powodzenie wielkie. Brawo!

Sztuczka p. Andrzeja Gill „Na uwięzi“ jakkolwiek niczego, nie może żadnego z powyższą wytrzymać porównania. Zupełny jej brak oryginalności, której ani gładki wiersz, ani zgrabnie ułożenie zastąpić nie może. Zwykła to sobie „paskwinada“ która kiedyś tam za czasów Molière'a lub Regnard'a, mogła mieć pewien urok świeżości ale dziś, po tylu mniej więcej udatnych próbach, w tym rodzaju wygląda jak blada kopja, jak rzecz podrobiona. Dwóch sąsiadów wiejskich Gilles i Crispin kochają się każdy w cudzej żonie, i prawiąc sobie w oczy najczulsze komplementa, o przyprawienie jeden drugiemu rogów, w nader usilny starają się sposób. Opatrzność chce, iż żony ich Violetta i Katarzyna zgoła podobnej nie życząc sobie zamiany, formują antikonspirację, która zupełnym uwieńczona skutkiem wietrznych panów mężów na wielki wstyd i zasłużoną naraża konfuzję. Ot i wszystko. Są tam sceny zabawne nacechowane sporą dozą komizmu. Jest wiersz gładki, jest nawet talent sceniczny, ale cóż z tego, gdy nie masz charakterów, typów, i wyższego artystycznego znaczenia. Doskonale odegrana przez pp. Porel (Gilles) Bache (Crispin) panie Kolb (Katarzyna) i Chartier (Violetta) sztuczka ta kilkanaście wieczorów utrzyma się na scenie, lecz w repertuarzu nie zostanie, i jak wszystko co znikome, prędkiemu ulegnie zapomnieniu. Czyż może być inaczej?

Akademja francuska na miejsce dwóch zmarłych nieśmiertelnych panów de Carné i Patin, wybrała sobie dwóch nowych. Są nimi pp. Charles Blanc i Gaston Boissier.

P. Charles Blanc brat znanego powszechnie historyka socjalisty Ludwika Blanc'a, zasłużył sobie na tę godność całym stosem produkcyj nie tyle może głęboko pomyślanych i oryginalnych, ile błyszczących stylem wykwintnym. Wybrawszy sobie za specjalność sztuki piękne, wydziału których w ministerjum spraw wewnętrznych przez długi czas był dyrektorem, nowy akademik na tem polu istotne położył zasługi. Nie mówiąc już o sporym pliku mniejszych dziennikarskich artykulików, rozmaite artystyczne podnoszących kwestje, dość wspomnieć dwie większe jego prace: „Historja malarzy“ i „Gramatyka sztuki,“ by dowieść, iż Akademja francuska nie pomyliła się tym razem otwierając swe wrota tak godnemu wejścia kandydatowi. Wychodząc z naszego osobistego punktu widzenia rzeczy, wolelibyśmy może, by wybór jej padł na którego z bardziej samoistnych, bardziej oryginalnych lub potężniej myślących pisarzy, jak Taine, Alphonse Dandet, Sully Prud'homme itd., lecz gdy tak nie jest, to radziśmy przynajmniej, iż fotel zasiada ktoś, co nietylko języka nie kaleczy, jak to dzisiaj jest zwyczajem tylu piszących, lecz w wysłowianiu się nim ledwie że nie dochodzi do dawnej doskonałości pisarzy XVII wieku. P. Gaston Boissier daleko mniej według nas ma tytułów do spadającej nań godności. Kolaborator *Revue des deux mondes*, autor kilku publikowanych w niej monografij historyczno-archeologicznych o starożytnościach Grecji i Rzymu, jest zapewne pisarzem z talentem, ale czyż to wystarcza? W takim razie dla czegoż nie rozszerzyć Akademji? Dla czegoż w niej miast 40tu, 400tu nie postawić foteli? Zbyt szanujemy Francję, byśmy przypuszczali, że nie znaleźć w niej tylu „piszących z talentem.“ Cała redakcja wspomnianej *Revue des deux mondes*, cała redakcja dzienników *Journal des debats*, *Le temps* i 50ciu jeszcze innych z takich się składa. „Pisarz z talentem“ termin to za rozciągły i łatwo dający się zastosować do bardzo wielu osobistości. Mybyśmy sądzili, iż godność akademika (nieśmiertelnego) powinno się otrzymywać, albo za dzieła sztuki, kreacje oryginalne, lub w niedostatku tych ostatnich za olbrzymią jakąś pracę naukową, lecz nie za monografijki.

Wyczytując z dzienników, jako zamiłowanie sport'u coraz większe tam u was robi postępy, przypuszczamy że i krótka wzmianka o sporcie tutejszym, u czytelników „Tygodnia“ łaskawe znajdzie przyjęcie. Ostatnie wiosenne wyścigi w Paryżu (Grand prix de Paris) z wielkim odbyły się hałasem. Potrzeba wiedzieć, że jedyne to są wyścigi we Francji ściągające konkurentów obcej narodowości. Wyradza się z tego jak gdyby jakaś patrjotyczna kwestja i wilją dnia stanowczego, cały Paryż drży z obawy, by broń Boże! jakiś cudzoziemiec, zwłaszcza Anglik, nie dobiegł pierwszy do mety. Do kwestji miłości własnej, przyłącza się inna nie mniej ważna, kwestja pieniędzy. Wygrana bowiem cudzoziemca wynosi z Francji ze dwa miljony różnych nagród i zakładów. Trzeba więc widzieć, jakim tłumem roi się hippodrom wyścigowy w dzień tak ważny. Dość ludzi, by niemi dwa, trzy wielkie zaludnić miasta; jakich 300 lub 400.000 osób tłoczy się na olbrzymiej płaszczyźnie Longchamps. A gdy stanowcza uderzy godzina, gdy konie szalonym puszczone galopem, tuż, tuż do metowego dolatują słupa, to z tej zgęszczonej ciżby taki wzlata wrzask, iż się chyba z rykiem wzburzonego morza, porównać pozwoli. Prawie każda ze zgromadzonych osób ma jakiegoś wybranego konia, na którym pokłada nadzieje wygranej. Każdy więc wykrzykuje jego nazwisko poparte tysiącem różnych hurra! vivat! hardi! A gdy sędzia wyścigów numer zwycięzcy na widnym zdaleka wywiesi słupie, to drugi okrzyk tryumfu ze strony wygranych a wściekłości ze strony pobitych całą wstrząsa okolicą. Pojmiecie jakie z tego wyradza się charivari. Otóż tego roku zwycięzcą był koń Węgier „Kisber“ nazwiskiem, własność niejakiego p. Baltazzi. Mieliśmy sposobność oglądać go z bliska i na tyle, na ile pozwalała nam słaba nasza znajomość rzeczy, podziwialiśmy świetną istotnie zwycięzcy budowę. Co za wiotkość kształtów i co za stalowa sprężystość ich zarazem! 3.000 metrów wściekłym przeleciawszy biegiem, szlachetne zwierzę prawie ani śladów nie okazywało zmęczenia. Nic prócz leciuchnej różowawej pianki, co mu silnie rozwarte żwilżała nozdrza. W koło niego rozlegał się koncert pochwał i zachwytów, a ono jak gdyby rozumie-

jąc cały blask swej sytuacji, całą doniosłość odniesionego zwycięstwa, o którem setki zaraz telegramów rozleciało się we wszystkie strony świata, radośnem i tryumfalnem odpowiadało nań parskaniem.

A powrót że z takich kursów? To także widowisko, które nie wiem czemu żadnego dotąd nie skusiło malarza. Na olbrzymiej przestrzeni od wyścigowego pola, aż w sam środek Paryża do placu de la Concorde i dalej, cztery, jeden obok drugiego nieprzerwane rzędy rozmaitych form i rozmiarów, pojazdów i pojazdzików, olbrzymie „melkocze“ (w każdym po dwa i trzy tuziny zakochanych w tym rodzaju jazdy Brytańczyków) ciężkie familijne landary, lekkie faetony kokot i dandysów, dorożki, fiakry, wozy do przewożenia mebli, które chwilowo przerobione na omnibusy uboższych amatorów czernią się tłokiem, wszystko to ciągnie się jedną, długą, żywą wstęgą upstrzoną różnobarwnemi kolorami sukien damskich, złotem galonów liberyjnych i bronzem szorów i zaprzęgów. Uszy bolą od stuku, oczy od farb migania, a pomimo tego spektator patrzący na to wszystko, względnego przynajmniej doznaje zadowolenia. Ma bowiem przed oczyma obraz pełen charakteru, na jaki tylko wielka jak Paryż stolica i to jeszcze nie codzień a raz do roku, gdy piękna służy pogoda z wysiłkiem zdobyć się może. Nie patrzyć nań zapewne mizantropowi, lecz nam co lubimy ludzi, świat, ruch, wrzawę życia, i owszem...

Śmierć pani Georges Sand, choć tak naturalna i z powodu podeszłego jej wieku oddawna przewidywalna, nadzwyczajnym wszystkim zdała się wypadkiem. Ostatnie bowiem utwory tej autorki, taką jeszcze tchnęły żywotnością, tak oddalały wszelką myśl o starości, znużeniu, i spoczynku w mogile, że świat przywykł do tej nad zwykłą miarę przeciągającej się wiosny sił a zdolności, i wieści o raptownem jej przecięciu, jak gdyby z niedowierzaniem, i istotnym słuchał podziwem. Co za długa, co za świetna, rzecby można, co za przepełniona karjera! Czego tam w niej brakło? Czego nie było? I pełna doza cierpień i pełna doza błędów (o tych ostatnich nie miejsce mówić nad mogiłą) a na zakończenie starość cicha, patrjarchalna, i śmierć na łonie ubóstwiającej ją rodziny, pośrodku tej prowincji Berri, którą niegdyś z taką opisywała miłością, a która wdzięczna, odpłacała się jej pełnem współczuciem. Któżby mając prawo wyboru, wybrał sobie los inny, jak ten, który Georges Sand był udziałem. Znać wszystko, dotknąć się wszystkiego, módz *Homo sum et nihil humani ame alienum puto* w tak szerokiem słów tych wyrzec znaczeniu; przecierpieć, pobłądzić, odpokutować, imieniem swem napełnić cały świat czytający i u kresu, ze szczytu lat podeszłych, filozoficzną rezygnacją przepełnionem spojrzeniem rzucić na odbytą podróż życia, a wszak to los godzien zazdrości, nie powiem wszystkich ludzi, bo by to było niesłusznością, lecz przynajmniej wszystkich natur pokrewnych zmarłej Georges Sand.

Przez całe życie obstając za wolnością myśli, autorka „Listów do Mareji“ „Siedmiu stron liry“ i „Spiridjona“ umarła bez księdza i wyraziła nawet podobno życzenie, by ją pochowano „po cywilnemu“, to jest tylko przy asystencji władz cywilnych. Życzenie to nie trafiło jednak do przekonań spadkobierców i nie było przez nich spełnionem. Wezwany proboszcz miejscowy nie chciał, czy nie śmiał, prowadzić na miejsce ostatniego spoczynku ciała tej, która skończyła tak hardo, nie pogodziwszy się z kościołem. Potrzeba było udać się do biskupa dyecezji, który rozkazał proboszczowi dopełnić swej missji.

Wracając do bardziej poziomych i weselszych rzeczy, ci poczciwi Paryżanie to istotne dzieci. Każda nowość zachwyca ich i bawi. Oddają się jej z prawdziwie młodzieńczym zapałem i dopóki nie zaćmi jej co innego, nie mówią i nie myślą, jak tylko o niej. Taką modą, taką nowością obecnej chwili są naprzykład ślizgawki. Jakiś sprytny przemysłowiec wpadł na myśl zużytkowania przez lato zimowego cyrku. Kazał wnętrze jego gładkim wylać makadamem, ponafabrykował łyżw na kółkach bez liku i tak urządzony zakład pod nazwą „Skating Ring“ dla ciekawej otworzył publiczności. Z początku szło to jak wszystko na świecie ciężko i powoli, lecz gdy po pewnym czasie, dzięki sążnistym reklamom, moda nowy ten rodzaj zabawy, pod swą wszechwładną wzięła opiekę, wspomniony przemysłowiec olbrzymią zrobił fortunę. Powodzenie jego zaoskomiło innych. Za „Skating Ringiem“ poszedł „Skating Palais“ w osobnym na ten cel przyrządzonym gmachu u wrót lasku Bulońskiego i dziś nie masz tu balu publicznego, nie masz ogródka, któryby swej sali, nie przerobił na ślizgawkę większych lub mniejszych rozmiarów.

Jak owe lalki Norymbergskie jeżdżą na kółkach poczciwi Paryżanie, i zdaje im się, że się ślizgają. Z powodu tarcia się kółek, z powodu niepodobnej do otrzymania zupełnej gładkości makadamu, jazda na takich łyżwach, wymaga daleko większego wytężenia siły, a w skutek tego męczy rychlej, niż jazda na zwykłych łyżwach, po istotnym lodzie. Pod względem szybkości ruchu także nie może z nią wytrzymać porównania.

W świecie książkowym nie wiele nowości, a przynajmniej nowości wybitnych, zasługujących na waszą zdaleka uwagę. „Rozmowy i urywki filozoficzne“ (*Dialogues et fragments philosophiques*) Ernesta Renan autora „Historji Jezusa Chrystusa“ warte wspomnienia chociażby dla tego, iż według nas przynajmniej, pierwszy w nich krok tego pisarza do pogodzenia się z prawowiernemi Rzymu zasadami. — Każdy pierwszy krok z natury swej bywa nieśmiałym i wybitnym być nie może. Dla tego trudno nam przekonania te nasze o ostatniej Renana pracy jakimś dosadnym podeprzeć ustępem. Ustępu takiego szukalibyśmy daremnie. To, co rozsiane w całym grubym tomie, w powodzi tysiącznych frazesów, tego nie ująć w jeden, to nie da się krótko sformułować. To jakby szklanka wody dolana do butla wina. Można ją w niem przeczuć smakiem, lecz nie sposób oddzielić jej od niego bez chemicznych aparatów i przepuszczania przez alembik. Zmuszeni więc jesteśmy prosić was, byście nam wierzyli na słowo a niedowiarków odsyłamy do książki, przeczytanie której jako rzeczy napisanej z talentem, w każdym razie i każdemu rzetelną opłaci się korzyścią.

Książka o której mowa, jak to sam jej tytuł zwiastuje, składa się z ułożonych w formę djalogu rozpraw filozoficzno-teologicznych. Jest ich trzy. Tytuł pierwszej: „Pewności“ (*Certitudes*), drugiej „Przypuszczenia“ (*Probabilites*), trzeciej „Marzenia“ (*Reves*). Obok nich zawiera ona i inne tej treści artykuły spisane w formie listów „O poznaniu natury“, „O nauce idealnej i nauce pozytywnej“ „O metafizyce i o roli jej w przyszłości“. Czytajcie, sądźcie i sprostujcie, jeśli to się da uczynić wywnioskowaną wyżej opinję. Stoimy więc i u kresu tej dość długiej i jakeśmy to z góry zapowiedzieli ostatniej przed jesienią „Paryskiej kroniki“.

Miejsca dla „Listów ztąd i ztamtąd“.

I do pierwszego z nich.

J. S. Chamiec.

Przygody w Indjach

podróżnika

Tomasza Anquetil.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Zaledwie minęliśmy róg domu mieszkalnego skręcając do gościnca, kiedy krzyk trwogi, krzyk niedający się opisać, obił się o nasze uszy, z towarzyszeniem jakichś dziwnych urywanych głosów. Doleciał on nas bezzaprzeczenia od strony stawu, gdzie dziecko pozostało same i pomyślałem sobie, że musiało pewnie przy łapaniu wolanta przechylić się przez barjerę i wpaść wodę. Nie tracąc minuty spieszę na pomoc, ale jakiż widok przedstawia się moim oczom. Z po nad brzegu sadzawki, wyglądała olbrzymia głowa krokodyla, który oparty o poręcz, złamaną swoim ciężarem, dychał, i z paszczą rozwartą, wciągniętemi bokami, miotał ogonem z wściekłością usiłując pożreć resztującą część dziecka, którego górna połowa prawie już była połknięta.

Z przerażeniem ogarnąłem wzrokiem całą okropną sytuację, i chwyciwszy za broń, opuściłem ją niebawem, miotany najstraszniejszemi obawami. Mierząc do potwora, który uduszony prawie objętością schwyconej zdobyczy, zdawał się niezdolny do poruszenia, narażałem się na zabicie dziecka; krokodyl zraniony mógł w przystępie bolu gwałtownego, zamknąć paszczę i przeciąć na połowę ciało swej ofiary.

Józef razem ze mną chwycił za broń, a marynarz odgadując moje obawy począł wrzeszczeć na całe gardło. Przez ten czas dobiegłem do barjery w jednym skoku, znalazłem się na przeciwnej stronie i kładąc się na murawę spadzistego brzegu o pięć do sześć kroków od krokodyla, ułożyłem się w sposób, aby mając go w górzę, mierzyć od dołu trochę bokiem po pod niższą jego szczękę.

Kobiety ostrzeżone krzykiem, spieszyły wyprzedziwszy biegnących ludzi. Zrozpaczona babka wznosząc ręce do nieba wołała — Pożeracz dzieci! pożeracz dzieci! — Matka blada jak trup, oniemiała z przestrachu, nie wyrzekła ani słowa, dopiero spostrzegłszy mnie przyczajonego, zawołała dobywając ostatnich sił — Hamueh! booghuy strzelaj!

Nie czekałem powtórzenia hasła i dałem ognia. Podwójny huk wystrzału rozległ się, kule o kilka cali jedna od drugiej ugodziły w szyję krokodyla, krew buchnęła do gardła i duszony krztusząc się potwór gwałtownym ruchem, wyrzucił dziecko które bez ducha padło obok swego mordercy wijącego się w w gwałtownych boleściach... Józef przyskoczywszy przerwał konwulsyjne miotania krokodyla, pakując mu prawie z przyłożoną lufą oba naboje w czaszkę.

Zaledwo dziecko pozbawione przytomności z zamkniętemi oczyma, z piersiami poszarpanemi potężnemi pazurami potwornego jaszczura, było odrzucone na ziemię, matka porwała je w ra-

miona, przytuliła do piersi, ustami chciała zcałować rany twarzy, łzami zraszała rozdarte usta. Babka szalona trwogą mściła się na potworze, a okładając go żerdzią wyrwaną z ogrodzenia po głowie, wyrzucała z siebie powódź złorzeczeń na dyszącego ostatniem chrapaniem zwierza. — Ty zbóju, złoczyńco, pożeraczu ludzkiego ciała, skończyłeś przecie swoje zbrodnicze spustoszenia! Masz tu, masz, jeszcze jedno uderzenie, i jeszcz raz, abyś z bolem zginął tak jakeś ból zadawał, ty kacie, morderco, nędzny wyrzutku natury! Przyczem z roziskrzonemi oczami wepchnęła mu z okrzykiem tryumfu tykę w gardło.

Przystąpiłem do matki która swym oddechem usiłowała ożywić dziecko, przyłożyłem rękę do ust, drugą położyłem na serce i byłoż to złudzenie czy drganie własnej ręki, ale zdało mi się, że dziecię oddycha. W jednej chwili wydobyłem nieodstępujący mię nesesser podróżny, dziecko wziąłem z rąk matki, położyłem je na trawie przytykając do nosa eter, natarłem mu nim skronie, dłonie i uszy, usta moje przyłożyłem do jego otwartych usteczek usiłując z głębi piersi ożywczy oddech wlać w jego piersi, poczem przechyliłem mu główkę i między ściśnięte zęby wpuściłem parę kropel mięty pieprzowej. Kląkłem nad niem i pochylony czekałem skutku mych zabiegów — w niespełna pięć minut chłopiec drgnął konwulsyjnie.

— Żyje! — zawołałem.

Matka chciała syna porwać w ramiona, ale ja ją wstrzymałem.

— Chcesz je pani zabić!

— A więc ratuj go, ratuj booghuy! powierzam ci skarb mój cały! — rzekła wznosząc oczy do nieba.

Kazałem sobie podać kawałek cukru, napuściłem nań asafetydy, włożyłem w usta dziecku i powtórzywszy raz jeszcze nacierania eterem, pozwoliłem matce zanieść je do domu. Położony na łóżeczku, dzieciak zasnął, oddech jego był regularny, puls tylko bił jeszcze gwałtownie. Korzystając z chwilowego spokoju, obmyłem mu rany z twarzy i piersi i położyłem na nie kompresy z wody i amoniaku. Następnie zostawiając potrzebne lekarstwa obznajomiłem z ich użyciem obie kobiety oświadczając, że musimy się rozstać.

Trudno mi opisać wdzięczność z jaką żegnały mię i dziękowały poczciwe niewiasty dowiedziawszy się, że ukochane ich dziecko wyszło z niebezpieczeństwa. Starsza nie mogąc wstrzymać gwałtownych uczuć, ściskała mi ręce, całowała i oddawała się tysiącznym wybuchom radości.

— To nasza wina, nasza wielka wina — mówiła jednym tchem — my nabyliśmy prawie za nic prawo do tej sadzawki od poprzednika który się chciał jej zbyć, gdy mu krokodyl, którego pan zabił, zjadł syna. Wiedząc o tem, nie powinniśmy byli tu się osiedlać. A dziś rano jeszcze syn mój zabrał z sobą wszystkie psy, gdyby nie to, ich szczekanie byłoby nas ostrzegło i mały nie byłby popadł w szpony potwora. Ale wielka światłość świata, czuwała nad nami, zsyłając ciebie booghuy coś zwalczył ducha złości! Niechaj będzie Budda pochwalony! Niechaj cię panie strzeże do ostatka dni twoich.

Podziękowania matki wyrażały się z większym spokojem, a chociaż równie gorące, były wypowiedziane z godnością, która mi się bardzo podobała. Shabunder dotychczas milczący, zastosował się do okoliczności i zbliżywszy się do mnie rzekł z wyszukaną grzecznością.

— Gnyungdoon jest ztąd daleko, a pan przyszedłeś pieszo — może więc będziesz łaskaw przyjąć miejsce obok mnie, z przyjemnością dostawię ciebie i ludzi twoich do przystani gdzie dobiły pańskie łodzie.

— Bardzo mi będzie miło korzystać z grzeczności — odrzekłem z ukłonem.

Tymczasem w dziedzińcu robota szła dalej swoim porządkiem. Ryby rozdzielone w skrzyniach, pływały w wodzie nalanej do trzeciej części wysokości naczynia, następnie zamknięte wiekiem dziurkowanem, przez które powietrze swobodnie przechodziło, zostały ustawione z całym przyrządem na wozach, bawoły zaprzężono, słoń uwolniony z pęt stanął gotów do drogi. Józef i marynarz usadowili się na wozach, ja gotowałem się wdrapywać na słonia, kiedy obie kobiety przyszły raz jeszcze nas pożegnać.

— Panie — rzekła do mnie młodsza wzruszonym głosem, odprowadzając mię na bok i wsuwając jakiś nie wielki przedmiot do ręki — weź pan to na pamiątkę dnia dzisiejszego. Co do nas, nigdy on nie wyjdzie z naszej pamięci, a twój obraz zachowamy w sercu do śmierci. Gdybyś nie tak prędko booghuy musiał wyruszać w dalszą podróż, mój mąż uważał by sobie za obowiązek, złożyć ci swoje dzięki. Przy tych słowach poczciwa niewiasta usiłowała wetknąć mi w dłoń rubin. Z trudnością przyszło mi zmusić ją do odebrania swego daru; przyjmując jej ofiarę byłbym niejako sprzedał pomoc udzieloną. Shabunder z boku widział co się działo, ale zdawał się zupełnie nie zważać na odgrywającą się scenę.

Ruszyliśmy wreszcie w drogę okalając staw, po za którym spuszczał się gościniec sprowadzający z góry. Przechodząc koło ciała ubitego krokodyla słoń nasz podniósł trąbę i zwietrzywszy krew, czy może odór piżma wydzielający się ze zwierza, zboczył ze ścieżki, nie by ominąć trupa, lecz owszem by nastąpić na niego, zdusić, rozedrzeć, w czem znajdował taką przyjemność, że dozorca kilkakrotnie musiał użyć napomnienia zanim dał się sprowadzić na drogę; widocznie między temi dwoma rodzajami potworów istnieć musi instynktowa odraza.

Postępując dość szybko, przed zachodem słońca stanęliśmy u brzegu, gdzie ludzie moi zaniepokojeni wyglądali nas niecierpliwie. Chciałem Shabundera przedstawić mojej żonie i zaproponowałem mu, by zechciał wstąpić na mój pokład; wymówił się jednak brakiem czasu, czekano go w Segagie. Gotowałem się zsiąść, gdy Shabunder wstrzymał mię za rękę.

— Booghuy — rzekł ściskając mi dłoń — zdaje mi się żem poznał pana i powiem ci szczerze, z twoim charakterem miej się na baczności.. Przedsięwzięcie nad którem pracujesz jest bardzo trudne, droga do niego zasiana niebezpieczeństwami... Będziesz potrzebował dużo siły woli, odwagi i stałości, i jeszcze bardzo będzie wątpliwem czy ci się to uda; nie zrozumią cię, nie będą chcieli ci pomódz... Jeżeli kiedy będziesz płynął w dół rzeką Irawady i weźmie ci chęć, zwidzenia niższego Pegu, pomyśl pan o mnie, z przyjemnością cię powitam. Kończę już, to aż za wiele, nikomu innemu nie powiedziałbym tyle... Rzecz zbyteczna objaśniać pana kim jestem, gdzie mieszkam, tu każdy mię zna, ale tam — i ręką wskazał w stronę stolicy — tam nie jestem w stanie łaski, unikaj pan więc mowy o mnie. A jednak jak świat często się myli w swych zapatrywaniach!

Uściskałem podaną sobie dłoń wyrażając w serdecznych słowach wdzięczność za udzielone rady i na tem rozstaliśmy się. Dzięki tej przypadkowej znajomości mogłem później zrobić nader miłą wycieczkę zboczywszy w kraj niższego Pegu. (D. k.)

DWA SONETY

poświęcone pamięci Juljusza Słowackiego.

I.

Błysły światła, przebrzmiały tony uwertury,
Z przejęciem czeka ludu gromada ściśniona;
Anioł ciszy, srebrnemi zaszeleścił pióry
Wśród niej w świątyni sztuki wznosi się zasłona.

Z ust postaci odzianej w królewskie purpury,
Padają słowa mistrza jak złote nasiona;
A duch tłumu, nad ciał tych wzniesiony marmury
Poświęca się z nim, walczy, zwycięża i kona.

Czy ulatasz w tej chwili nad sercami temi?
Czy ich widzisz tułaczy cieniu, wielki, dumny,
Tych ludzi, co słuchają cię drżąc, bladzi, niemi?

Czyli słyszysz ten oklask długi, wrzący, szumny?
O! Juljuszu! Jak cicho grudki obcej ziemi
Padły niegdyś na wieko twej samotnej trumny!

II.

Niepojęty od ludzi bo wyższy o wieki,
Niekochany od ziomków, bo gorżki i smutny,
Odepchnięty od łona Polski i daleki,
Przebłąkałeś swój żywot cierniowy, pokutny,

Dopokąd duch olbrzymi i życiem rozrzutny,
Zmęczone mdłego ciała nie zawarł powieki;
Zbladłemi jego usty jeszcze świat okrutny
Żegnając wielkiem słowem: „Jam z wami na wieki!"

Dziś dzień Twego tryumfu! Dojrzewają w cieniu
Rzucone w otchłań czasu słów wieszczych wyrocznie —
Aż znikną mgły obłędów, zamilkną oszczerce...

I odżyje myśl wielka w nowem pokoleniu,
I pieśń wielka rozbudzi w niem drzemiące serce
Co pójdzie grób uwieńczyć, gdzie męczennik spocznie.

Lwów 1875. *Marja B.*

Obrazy z Ameryki.

F. GERSTAECKERA.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Nie tyle romantyczną, choć nie mniej serdeczną była radość i szczęście rodziny biednego Niemca. Z równą uwagą, jak Gray, słuchała kobieta opisu rozpaczy i trwogi męża — gdy ujrzał się samotnym w olbrzymim tłumie miasta.

— Zrozpaczony — mówił on — uciekałem z brzegu, by uniknąć szyderstw i śmiechów, i pobiegłem do gospody tego Niemca, gdzieśmy razem dwa dni mieszkali. Kupiony cukier i kawę położyłem w kącie, bo mi one wtedy przypominały, rozdzierając bardziej serce, i usiadłszy począłem w głos łkać i płakać. W izbie było wielu naszych rodaków, lecz żaden nie okazał mi współczucia i zamiast słów pociechy, słyszałem bolesne drwiny i nieludzkie żarty. Mówili mi, żem się cieszyć powinien z tego wypadku — bo mi spadł z głowy ciężar niepotrzebny, gdyż teraz sam łatwiej utrzymać się zdołam.

I dziwna rzecz — czego nie byłyby dokazały może słowa pociechy i współczucie, to sprawiło moje oburzenie i wściekłość na widok haniebnego zachowania się moich krajanów. Poskoczyłem z energją i pobiegłem na brzeg, postanawiając za jakąkolwiek cenę dostać się na pierwszy statek płynący w górę. Choć nie miałem ani feniga w kieszeni, bo jak wiesz, wszystkie nasze pieniądze w skrzyni, a to co miałem przy sobie, wydałem był do ostatka na cukier i kawę, nie zważałem jednak na to, spodziewając się, że z pomocą Bożą znajdę przecie człowieka, który ulituje się mej doli nieszczęsnej. Na brzegu nie znalazłem ani jednego statku, któryby wyruszał tego dnia, bo wszystkie odpłynęły były jeszcze przed Oceanikiem. Z ciężkiem sercem wróciłem do gospody, gdzie zastałem szynkarza zatrudnionego rewizją moich artykułów. Przedstawiwszy moje położenie nieszczęśliwe, prosiłem go, by zatrzymał sobie te artykuły, a może w zamian dał jaki kąsek pożywienia, i pozwolił kąta na nocleg. Choć przedmioty te miały podwójną wartość, zacny gospodarz kwaśną zrobił minę na tę propozycję — w końcu dał się jednak uprosić i przyjął je wspaniałomyślnie. Dał mi za nie kilka *crakers*'ów (rodzaj cwibaków okrętowych z pszennej mąki) i kawałeczek sera — a na noc przeznaczył mi łóżko, atoli bez siatki, że moskitosy o mało mnie nie zażarły. Głodny i zmęczony, pobiegłem ze wschodem słońca na lewję. Na moje szczęście właśnie Diana gotowała się do odjazdu, a kapitan zabrał mię, jak równie innych międzypokładowych pasażerów, bez płacy ale pod warunkiem, że będziemy pomagali nosić na statek drzewo palne. Ach Boże! nie tylko drzewo nosić, ale najcięższej w dodatku pracy byłbym się podjął ochoczo — byle was odnaleźć! Płynęliśmy tak szybko, że wnet prześcignęliśmy statki, które przed nami znacznie na przodzie były. O jakże mi biło serce za każdym razem, gdy ujrzałem z dala biały dym wznoszący się z komina okrętowego, spodziewając się, że to Oceanik z wami, moi najdrożsi!

Często nawoływano z brzegu — chcąc zapewne wsiąść na pokład — ale kapitan nasz tylko wtedy zatrzymywał się — gdyśmy blisko brzegu płynęli. Zresztą nigdy, i widocznie spieszył się niezmiernie a zależało mu więcej na zyskaniu czasu, niżeli kilku pasażerach. Zaprawdę lepszego statku i szybszej jazdy, życzyć sobie nie mogłem. — Teraz znowu jesteśmy razem i nic już nic, chyba śmierć, nas rozłączyć zdoła... Gdy skończył brał każde dziecię na ręce i obcałowywał je z miłością — a łzy serdeczne spływały mu gęsto po policzkach szorstkich. Na ostatek, znużeni długą spowiedzią — gdy i noc już była głęboka — rzucili się na twarde łoże i upojeni błogą radością, usnęli snem sprawiedliwych. Znajomy nam międzypokład Oceaniku, oświetlony jedyną lampą wiszącą u stropu w pośrodku — prezentował się w nocy choć nie malowniczo, za to jednak oryginalnie. Pod każdą ścianą zastawioną drewnianemi łóżkami w trzy po nad sobą rzędy — leżało tylu ludzi, ile tylko cała przestrzeń pomieścić ich mogła. Gdziekolwiek się spojrzało — wyglądała z wąskiego posłania tu głowa — tam ręka — tam znowu noga spiącego — a z wszystkich stron i kątów odzywał się tłumiony gwar powstający z chrapania i mierzonego oddechu spoczywających. W braku dostatecznej ilości zbijanych łóżek — wielu spało na skrzyniach i kufrach stojących w pośrodku. Niektóry wisiał zaledwie połową ciała na wyżynie, a drugą leżał na pokładzie — inny znowu odpoczywał w tak karkołomnej pozycji — że na jawie byłby się nie odważył spróbować jej nawet za sowitą zapłatę. Lecz każdy pragnął bodaj godzinkę użyć sobie snu ciągłego — choć to się nie wiodło, bo prawie co chwila coś przeszkodziło, budząc nielitościwie znużonych niewygodą całodzienną.

W jednym kąciku siedzieli dwaj jacyś mężczyźni skurczeni i przy mdłem świetle dopalającej się świeczki, grali w karty, a z takiem zajęciem i powagą, jak gdyby całe życie i los przyszły każdego zależał od zbrukanych tuzów i królów.

Gdy zgaszono latarnię, i tylko słaby pół zmrok okrywał całą kazamatę, oddaną Morfeuszowi z wyjątkiem dwu graczów — z po za skrzyni znajomego nam Niemca, który niebacznie wyraził się był w swem opowiadaniu, że cały jego zasób pieniężny leżał w tej skrzyni, podniesła się zwolna jakaś głowa i parą ciemnych, złowrogich oczu pogoniła badawczo po całym przybytku — zatrzymując się uważnie na obu dwu graczach.

Cisza była zupełna — przerywana jedynie oddechem spiących — jednostajnym warkotem kół okrętowych — i przekleństwem półgłośnem — które się czasem wymknęło z gniewnych ust przegrywającego.

Bez szelestu podniósł ten zagadkowy nieznajomy jedną rękę do góry, i opatrzył przezornie kłódkę zamykającą wieko skrzyni. Potem równie bez szelestu wyciągnął z kieszeni sporą wiązkę rozmaitych kluczyków, i począł próbować je do otworu kłódki. Jeden z nich przydał się rzeczywiście — sprężyna puściła i rozwarta kłódka — wyślizgując się z drżącej dłoni złodzieja, upadła z głośnym chrzęstem na podłogę.

— Idźno sobie do djabła! — mruknął obok przez sen przeciągając się leżący na drugiej skrzyni tak krótkiej, że głowa zwisała mu z jednego a nogi do kolan z drugiego jej końca.

Spłoszony trzaskiem sprawionym przez spadnięcie kłódki — a także apostrofą spiącego, jak raz dłań stosowną — przypadł łotr do ziemi i bez ruchu i z zapartym oddechem, wyczekiwał pomyślniejszej chwili.

— Słyszałeś — coś upadło! szepnęła żona niemca — budząc go — wstańno i popatrz.

— Zapewne koło maszyny — mruknął nie otwierając oczu sklejonych snem upragnionym i nie zważając na przestrogę żony. Ona zaś słuchała jeszcze chwilę — a że cisza panowała głęboka — zamknęła ciężkie powieki, i usnęła niebawem.

Tymczasem złodziej, przeczekawszy spokojnie z kwadrans i słysząc chrapiących już właścicieli skrzyni — odjął uważnie skobel i podniosłszy trochę wieko — wsunął do wnętrza skrzyni chciwą rękę — szukając na okół owego srebra — znajdującego się tam podług słów samego niemca. Przerzucając wprawną ręką zawarte tam rozmaite rzeczy — nagle napotkał na mały, ciężki woreczek, który chował w sobie całe mienie biednych emigrantów. Ścisnął go silnie i zwolna, ostrożnie ciągnął do góry — gdy wtem nad nim jakiś długi kentuckijczyk, który kilka razy już obracał się i wyciągał — ile dozwalała na to wąska koja, budząc się podniósł głowę i sparł ją na łokciu.

— Niech djabli wezmą tak twardy materac — zawołał uderzając pięścią w nagą deskę — którą z ironią nazwał materacem — a z nim i tego majstra cieślę — który porobił tak krótkie łóżka, że jeśli człek ledwie kilka cali (!) dłuższy od karła — już się w niem wygodnie przeciągnąć nie potrafi! Ho ho — dodał — ziewając i odwracając się na drugą stronę, gdyby to już zaświtał ranek!

Z szybkością błyskawicy wyciągnął rękę ze skrzyni przepłoszony w kradzieży łotr — gdy pewny był już swej zdobyczy, i zgrzytając zębami skrył się znowu w cieniu skrzyni.

— He — Jim — zaczął znowu długi Kentuckijczyk do jednego z graczów: co to, będziecie siedzieli całą noc przy kartach? — będzie już pewnie druga godzina po północy... Jim — słyszysz he?

— Spij tam do licha! — mruknął przez zęby zagadnięty. A długi Kentuckijczyk odpłacając mu jeszcze piękniejszem przekleństwem, odwrócił się i skończył, usiłując usnąć powtórnie.

— Możebyście tam na górze spokojniej leżeli! — odezwał się basowy głos z dolnej koi.

— A to dla czego? — zapytał w lot Kentuckijczyk przechylając się na dół i zazierając do towarzysza.

— Bo mi proch i piasek oczy zasypuje — ilekroć ruszacie się na górze — odparł tamten gniewnie — a i pełną gębę mam już tego dobrego — zawołał zrywając się i wypluwając piasek, który przez szpary nalecial mu do otworzonych ust — gdy Kentuckijczyk poruszył się na swojem łożu. — Damn it man — nie możecie leżeć spokojnie? bo już tu wytrzymać nie mogę!

— Najlepszy sposób — zamknąć gębę i oczy — radził flegmatycznie długi obywatel i za chwilę marzył gdzieś o brzegach Lickingu.

Po krótkiej chwili zapanowała cisza poprzednia i wnet podniosła się szybko ukryta dotąd za skrzynią postać złodzieja. Bez szelestu odchylił wieko skrzyni, posunął ręką, pochwycił worek z pieniądzmi, i cisnąc je, by brzękiem nie pobudziły właścicieli, z lekka spuścił wieko. Już zamierzał zawiesić kłódkę i zamknąć ją, by tym sposobem usunąć ślady łotrowskiej sprawki, gdy nowa przeszkoda wstrzymała go od tego.

— Ależ powiadam wam sąsiedzie — odezwał się nagle rozciągnięty na pokładzie pasażer, którego ów spiący na skrzyni po kilkakroć nogami w twarz był potrącił, — powtarzam wam, że trzymajcie przy sobie te długie nożyska wasze, albo was ukąszę, że krew z nich pociecze; *damn your eyes*, cóż to, myślicie żem na to położył tu głowę moją, byście mieli o co wycierać nogi swoje!

Wood pile — wood pile! zagrzmiał głos mate'a po międzypokładzie. *Wood pile, boys! get up here! get up* *)!

Z tym okrzykiem obchodził wszystkie koje okrętu i budził spiących jednego za drugim, nie troszcząc się wcale o to, który był a który nie był obowiązany do noszenia drzewa.

Przeciągając się i ziewając podnosili się rozespani międzypokładowcy i przecierali zasklepione oczy, szukając około siebie czapek lub kapeluszy, które im pospadały we śnie; zresztą wszyscy byli ubrani i niejeden pochopniejszy do roboty poskoczył szybko, podczas gdy powolniejszych *mate* napędzał słowem i ręką, a innym spiącym jeszcze, latarnię do twarzy przybliżał, ażeby w ten sposób przekonać się, czy który obowiązany do noszenia drzewa nie ukrywa się korzystając z ciemności.

*) Drzewo nosić — drzewo nosić! chłopcy — wstawajcie, wstawajcie!

Śmieszne miny stroili obudzeni hałasem, krzątaniem się głośnem widząc tuż przed sobą płomień świecy, nie dalej jak na dwa cale od oczu gorejący. Między innymi zbliżył się *mate* do jakiegoś staruszka, który leżąc na plecach z rękami na piersi skrzyżowanemi, spał tak twardo, iż hałas i gwar nie obudził go dotychczas. Zbliżywszy i temu latarkę do twarzy, zawołał jak zwykle:

— Nosicie drzewo?

Stary, nie rozumiejąc słów, ale przebudzony głośnem ich brzmieniem, widząc tuż przed sobą światło, zerwał się gwałtownie na równe nogi i krzyknął na całe gardło:

— Ogień!

— Co to jest! — zawołał na to *mate* przestraszony niespodzianym tym okrzykiem i odskakując w tył kilka kroków.

— Po co, u djaska, ten wrzask piekielny! — dodał ze śmiechem, widząc w koło siedzących i stojących z oczyma i ustami szeroko rozwartemi; — opamiętajcie się człecze, nic wam się przecie nie dzieje!

— Czego chcecie odemnie?

— Nosicie drzewo? zapytał mate.

— I to przyczyną tej wrzawy szalonej? — wtrącił drugi z gniewem.

— Nosicie drzewo? — powtórzył gorliwy indagator nie tracąc kontenansu.

— Nie... do stu djabłów nie! — zawołał stary, który dopiero teraz przyszedł do wiadomości swojego położenia śmiesznego. Raz jeszcze huknął, „nie," przyczem posłał mate'a na same dno piekła, i rzucił się ze złością na posłanie.

Wood pile! przystąpił mate do znajomego nam Niemca, uderzając go po ramieniu. Ten zaś, właśnie co podniósł się był z twardego łoża, a ujrzawszy otwartą skrzynię, z przerażeniem rzucił się do wieka, podniósł je i począł szukać z zapartym oddechem worka z pieniądzmi, zawierającego całe jego i rodziny mienie, podstawę ich bytu przyszłego. Lecz na darmo przetrząsał drżącemi od wzruszenia rękami ubogie rzeczy, pieniędzy nie było; załamał ręce w niemej rozpaczy i łzy zrosiły mu oblicze blade.

— *Wood pile, wood pile,* człowiecze! Żywo — uprzątnijcie te gałgany porozrzucane! *Damn it,* czy nie słyszycie co mówię? — wołał mate, widząc, że Niemiec nie zważa wcale na rozkaz jego, ale nieruchomy stoi, patrząc uparcie na otwartą skrzynię.

— Wszystko skradzione! — mruknął w końcu z cicha biedny człowiek i złamany rozpaczą upadł na kolana, ukrywając twarz w dłoniach.

— Cóż u djaska, znowu wam coś niedogadza? — spytał mate gniewnie, oglądając się badawczym wzrokiem w koło.

— Ktoś skradł mu wszystkie pieniądze — odezwał się jeden z przytomnych, który rozumiał trochę po niemiecku.

— Skradł? — zawołał nagle głos jego żony, która odgadując instynktem znaczenie angielskiego słowa „stolen," wpadła pomiędzy stojących przeciskając się gwałtem do skrzyni; — skradziono nasz majątek... o Jezus, Marja! jękła, widząc otwartą skrzynię, porozrzucane rzeczy, i klęczącą postać męża, zrozpaczonego tak dotkliwą stratą.

— *Wood pile* — pal licho — krzyczał mate. — Wynoście się ztąd — czegoż stoicie w koło i gapicie się niepotrzebnie; czółno już dawno u brzegu; rezonujcie i lamentujcie potem, wpierw jednak zajmijcie się drzewa.

Ci, którzy obowiązani byli nosić drzewo, wyszli wszyscy, pozostał jeno biedny Niemiec z żoną. Ta poczęła jeszcze raz przeszukiwać obszerną skrzynię, a robiła to z dzikim jakimś pospiechem, wyrzucając na ziemię każdy kawałeczek, oglądając każdą szmatkę z osobna.

Wszystko to jednak było daremnem; również bezowocnem było staranie się kilku majtków, którzy donieśli kapitanowi o całem zdarzeniu prosząc go, by zarządził ścisłe poszukiwania. Gdy bowiem statek ruszył w dalszą drogę i na rozkaz kapitana przedsięwzięto rewizję, złodzieja dawno już nie było na pokładzie. Korzystając z ciemności nocy, uszedł z okrętu i skrył się w nadbrzeżnych zaroślach. Wszyscy pasażerowie Oceaniku współczuli szczerze stratę biednych ludzi, z wyjątkiem obudwu graczów, którzy nie zważając wcale, co się w około nich działo, grali bezustannie. Tymczasem w górnej kajucie Simmons zarządził składkę dla okradzionych, by przynajmniej małą jaką sumą przyjść w pomoc ich potrzebom najpierwszym.

Z niezmierną szybkością gonił Oceanik wyznaczoną sobie drogę i jeden skręt rzeki za drugim, to zjawiał się to nikł z przed oczu sternika.

Lasy i lasy, bez końca rozciągały się po obu stronach rzeki, przerwane tu i tam, maleńką chatą osadnika, który, odcięty od reszty świata i oddany na łaskę moskitosów, żył z dnia na dzień w tej pustelni, dostarczając drzewa opałowego przejeżdżającym mimo statkom, i zarabiając w ten sposób na chleb powszedni. A dodać trzeba, że tak te drzewa które padały pod ciosami jego siekiery, jak również ziemia, na której one rosły, nie była wcale jego własnością, i każdej chwili mógł być wyrugowanym przez dotyczącego właściciela tych ostępów dziewiczych. To też chatki takie kryją się pilnie w zaroślach przed okiem ludzkiem, i zaledwie po bacznem wpatrywaniu się dostrzedz można pomiędzy konarami drzew szary dach klecony na prędce z desek. Często się zdarza, że Mississipi rozhula się na dobre i szerokie połacie pobrzeży zatapia żółtemi swemi wodami. Wówczas osadnik taki szczęśliwym zwać się może, jeśli ucieknie z życiem przed groźnemi bałwanami; cały zaś dobytek nagromadzony w pocie czoła a często z narażaniem życia w jednej chwili przepada dlań bez ratunku.

Właśnie co Oceanik mijał jedną taką chatę, a widocznie świeżo powstałą, bo i dach jej biały lśnił się do słońca i nie widać było nigdzie nagromadzonego na sprzedaż drzewa.

— *Hallo the boat!* zawołał jakiś głos z brzegu, i chustka uwiązana na długiej tyce mignęła w powietrzu.

— Czy każe pan lądować? — zapytał sternik kapitana stojącego w pobliżu domku piloty.

— Spuścić czółno, widzę jednego człowieka na brzegu, być może, że chce wsiąść na statek.

— *Hallo the boat* — wołał ów głos powtórnie i z niecierpliwością widoczną; na to kapitan zadzwonił, ażeby dać poznać wołającemu, iż statek się zatrzyma, i wnet czółno odbiło zmierzając w to miejsce.

— Czego chcecie? — zapytał kapitan, gdy zbliżyli się na małe oddalenie.

— Dokąd płynie statek?

— Do St. Louis.

— Ay ay! — zawołał nieznajomy, na znak iż go zrozumiał.

— Czy chcecie wsiąść na pokład? — spytał kapitan trochę już zniecierpliwiony.

— *Don't you want to buy a damned good canoe?* *) — było odpowiedzią nieznajomego.

— Jak to, więc nie życzycie sobie wsiąść na statek? — powtórzył kapitan na pół zdziwiony, a na pół gniewny.

— *I say, don't you want to buy a damned good canoe?* powtórzył niepoprawny pasażer spodziewany.

— Pal cię licho! — rzucił na to kapitan z gniewem i rozkazał pilocie ruszyć w dalszą drogę.

— Ay, ay! odparł nieznajomy, udając że nie rozumie ostatniej apostrofy, i ze stoicznym spokojem odwrócił się zmierzając do swojej chaty.

— I dla czegoż nie rozpocząłeś targu, kapitanie! — zaczął Simmons z drwinami, gdy Wilkens wrócił po chwili do kajuty. — Zaprawdę, łódka ta musiała być arcyznakomitą, skoro płynęliśmy w poprzek całej rzeki, byle jeno słyszeć o jej istnieniu!

— Drwij pan sobie do syta! — zaśmiał się Wilkens; — lecz cóż mi pozostało uczynić? Gdybym był lądował, filut ten byłby skrył się w gęstwinie, i ktoby go tam odnalazł! W takich razach przecie nie pozostaje nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry, i kwita.

— Sądzisz pan, że ten człowiek zrobił sobie tylko żarcik, proponując tę sprzedaż? — zapytał Simmons poważnie.

— Nie inaczej, bo czyż podobna przypuścić, ażeby człowiek ze zdrowemi zmysłami przywoływał z tak daleka okręt w tej jedynie myśli, by mu ofiarować łódź na sprzedaż, z której nota bene, chyba ten mógłbym mieć pożytek, iżbym jej użył na paliwo.

— Ależ to była „damned good cane" — dorzucił z uśmiechem Stewart, który właśnie co przystąpił był do rozmawiających.

— Mylnie sądzisz kapitanie — odparł Simmons; — wierzaj pan, że ten człowiek zrobił to z całą powagą, i gdybyś pan był wylądował, byłby z głębokiem przekonaniem oczekiwał na miejscu, iż pan zamyślasz oglądnąć jego czółno. Posłuchajcie, co zrobił raz pewien osadnik nad Atchafalaya. Założył się o gallon whiskey'u z jednym z sąsiadów swoich, iż wieprzak, którego właśnie zabił, waży 200 funtów, podczas gdy tamten twierdził uparcie, że tylko 180 funtów. Ponieważ w pobliżu nie było wagi, więc zgodzili się, że pierwszy, obcy, przybywający w to miejsce, ktokolwiek on będzie, rozstrzygnie spór — i obadwaj poddadzą się nieodwołalnie jego wyrokowi. Otóż tym pierwszym przybywającym był statek „Black hawk," płynący drugą stroną rzeki. — Gdy go spostrzegli spór wiodący, uważali to za zrządzenie Opatrzności, gdyż jak się spodziewali, nie tylko, że kapitan rozsądzi sprawę według słuszności, ale w dodatku, przegrywający będzie miał sposobność wyśmienitą, kupić na okręcie umówiony gallon ulubionego napoju. Jak pomyśleli, tak zrobili, i nuże machać zawzięcie chustkami i czapkami, przyzywając tym znanym sposobem okręt do brzegu. Wypadek chciał, że statek wiózł małą tylko liczbę pasażerów, i kapitan chcąc zarobić za pasaż kilkanaście dolarów więcej, skierował się do brzegu i wnet wylądował. Tu ku największemu zdziwieniu dowiedział się, iż przywołany był celem osądzenia wagi mięsa. Wprawdzie klął i wymyślał, na

*) Może kupilibyście u mnie djabelnie dobre czółno?

czem świat stoi, nic mu to jednak nie pomogło. Musiał rad nierad, ruszyć dalej swoją drogą, a na dobitek, zabrał sporą porcję epitetów niepochlebnych, w nagrodę, iż nie chciał odprzedać whiskey'u.

— Więc ci ludzie byli rzeczywiście tak nierozsądni, by z namysłem i powagą uczynić coś podobnego? zapytał kapitan Wilkens.

—Zupełnie tak samo, jak ten człowiek, który przed chwilą ofiarował panu łódź na sprzedaż, a który, jestem pewny, uczyni to samo z każdym następnym, przepływającym tamtędy okrętem.

— W takim razie, Yankesy mają słuszność zupełną, wyśmiewając nasz Zachód... — wtrącił Wilkens — i Mr. Bloomfield, gdy wróci do domu, będzie mógł pocieszne rzeczy o nas opowiadać.

— Niekoniecznie, kapitanie — odezwał się Bloomfield; — Yankesy bynajmniej nie uważają mieszkańców Zachodu za słabe głowy. Przeciwnie słyszałem zawsze, że kramarze i handlarze zegarami, przeciągający ze Wschodu przez wszystkie Stany, zachwalają najwięcej Stany środkowe, o Zachodnich zaś wyrażają się z przekąsem, bo widocznie nie robią tu interesów znakomitych. A to próbką dostateczną, gdy zważymy, że ci ludzie biorą za miarę swojej oceny stopień wyzyskiwania i łatwowierność kupujących.

— Co dotyczy waszych handlarzy zegarami to wyznam, iż mam dla ich talentu kupieckiego respekt wszelki — wtrącił Simmon — Mój ojciec mawiał zawsze, iż taki yankes *dock pedlar* (zegarmistrz) potrafi konającemu człowiekowi zaaplikować swój towar, co więcej, iż nie minie jednego domu, gdzieby nie zostawił bodaj jednego lichego zegarka.

— Mojem zdaniem ci *dock pedlar*'y są jeszcze bardzo uczciwi i sumienni w porównaniu do reszty swoich ziomków trudniących się handlem i przemysłem — wtrącił Wilkens. Przypomnijcie sobie tylko panowie całe okręty yankesowskie wyładowane drewnianemi szynkami zaszytemi w płótno.

— Albo orzechy muskatu, toczone z drzewa sosnowego — dorzucił Blomfield.

— Wszystko to, moi panowie, niczem w obec ogłoszenia które znalazłem w jednym z dzienników Charleston'u w połudnowiej Karolinie odezwał się Gray, który zbliżywszy się przed chwilą do towarzystwa, zasłyszał był o figlach Yankesowskich. — Posłuchajcie tylko, bo to curiosum jedyne w swoim rodzaju! — To mówiąc wyciągnął wspomniany dziennik i przeczytał:

„Kiełbasy sprowadzone z Hartford Connecticut — a sporządzone z pokrajanej cienko flaneli czerwonej i kartofel, choć są pożywieniem dość do strawienia trudnem, ujdą jednak w całości; atoli te, które nadto mają w trzeciej części przymieszkę z grubego papieru siwego, są nawet dla psów nie do użycia“

— Nie źle — rzekł Bloomfield śmiejąc się głośno, w czem mu reszta słuchaczów wtórowała ochoczo — wcale nie źle! Co dotyczy przemysłu, to ziomkowie moi, zdaje się wcale nie zostają w tyle, ale owszem wyprzedzają wszystkich. Inaczej rzecz się ma pod względem handlu końmi. W tej mierze Zachód trzyma prym; szczególnie indyjski sposób kupowania koni zupełnie w naszych stronach nieznajomy. Ze wszystkich odznaczać się ma w tym kierunku najbardziej Arkanzas!

— Wątpię czy Missouri nie dorównywa mu w tej zalecie — wtrącił Stewart, — co najmniej, istnieją na pewne między obydwoma, dość ścisłe związki, i co w Arkansas ukradną to w Missouri spieniężają, i *vice versa*. W Arkansas ten indyjski system kupna, innemi słowy, kradzieży koni wzmógł się od czasu, jak tam zniesiono karę śmierci za tę zbrodnię. Pierwej przecie taki opryszek musiał dobrze się namyśleć i obliczyć szanse, zanim odważył się ryzykować, w razie niepowodzenia, głowę. Ale, ale, moi panowie — dodał spozierając na Simmonsa — czy niebyłoby na czasie, gdybym wam zaproponował partyjkę w karty. Niebo coś się zachmurza, temat do rozmowy wnet się wyczerpać gotów, a potem chyba nndzić się przyjdzie lub drzemać gdzie w kącie.

— Ja zgadzam się z całego serca na propozycję pańską — odezwał się Simmons. — W pierw jednak radziłbym wypić szklaneczkę, bo co do mnie, to szczerze wyznam, iż kompleksja moja wymaga niezbędnie od czasu do czasu pewnego odświeżenia i orzeźwienia. Zatem — Barkeeper — przynieść tu szklanki!

Gray wymówił się od gry i napitku, a miejsce jego zajął przy starym Simmonsie Mr. Bloomfield, który po otrzymanej od Stewarta zaczepce, nie nudził już swoją manją myśliwską.

(Dok. n.)

Myśli o najnowszym kierunku w historji

przez

Bolesława Czerwieńskiego.

(Ciąg dalszy.)

IV.

To, co handel czynił powoli, lojalnie, to samo sprawiały i wojny. Nie mówimy tego o wszystkich wojnach; większa ich liczba siejąc spustoszenia, niszcząc dzieła ducha ludzkiego, zaszczepiając w sercach ludzkich dzikie okrucieństwo i zniżając tem samem ich poziom duchowy zaszkodziła cywilizacji, która jak egzotyczna roślina wymaga spokoju i słońca, a nie ulewy i huraganu, niektóre jednak z nich przyczyniły się nie mało do rozprzestrzenienia cywilizacji. Wojny te, których nie wiele w historji naliczyć możemy, były czy to z samowiedzą, czy bez niej prowadzone w imię jakiejś idei, niszczyły zastarzałe urządzenia i pojęcia wprowadzając gwałtownie nowe na ich miejsce. Człowiek przyzwyczaja się łatwo do pewnego stanu, a jeżeli ten stan trwa długo, staje się zaciekłym konserwatystą i często nie chce w żaden sposób przyjąć zmiany na lepsze, aż mu ją trzeba gwałtem narzucić. Czyż nie widzimy w historji faktów, że niewolnicy przelewali krew, by nie być usamowolnionymi, że narody zawzięcie upierały się przy pewnych instytucjach, które im się przez wieki dały we znaki? „Pies,“ mówi obrazowo Mickiewicz w wierszu „Do Moskali,“ — „tak się przyzwyczaja do długo noszonej obróży, że w końcu kąsa rękę, co ją targa.“ Narzucenie gwałtem narodowi jakiejś wyższej idei lub ulepszonego urządzenia, wywołuje wprawdzie opór, w końcu jednak odnosi tryumf, rozumie się, że tylko w takim razie, jeżeli taka idea lub ulepszenie są rzeczywiście lepszemi i wyższemi od tych, których poprzednio był ten naród właścicielem. Gwałtowny ten środek jest czasami *malum necessarium* i nie zasługuje na potępienie, jeżeli rzecz podług skutków oceniać będziemy. Okropnie jest czytać historję wojen religijnych z czasów reformacji, włosy powstają na głowie na myśl, ile tysięcy ludzi przyprawiono podczas nich o śmierć lub kalectwo, jak wyludniano całe prowincje, jak niszczono bogate miasta, a najświetniejsze zabytki sztuki zamieniano w gruz plugawy, jeżeli jednak zważymy, że wojny te były koniecznością w celu złamania wszechwładnego systematu włoskiego, reprezentowanego przez papieża, który ołowianą prawicą ciężył nad duchem ludzkim i nie pozwalał mu się swobodnie rozwijać, jeżeli zważymy, że w skutek tych wojen systemat ten upadł, i że ludzkość następnie w przeciągu dwóch wieków postąpiła duchowo dalej, niż przez 15 wieków poprzednich, wtedy te wojny będziemy musieli uważać jako wielkie choć straszne dobrodziejstwo. Za najważniejsze wojny cywilizacyjne uważamy: Wyprawę Aleksandra Macedońskiego do Azji, która połączyła cywilizację wschodnią z zachodnią*), niektóre podboje Rzymian szczególniej dokonane w Galji, Germanji i Brytanji, które zaszczepiły w tych krajach element Romański, wojny spowodowane wędrówkami narodów w średnich wiekach, one to bowiem wywróciły Rzym i dozwoliły cywilizacji rzymsko-greckiej rozlać się po Europie i zamalgamować się z energją i zdrową logiką barbarzyńskich naszych praojców, następnie wojny religijne z czasów reformacji, a mianowicie wojnę trzydziestoletnią, a nakoniec wojny prowadzone przez rewolucyjne rządy Francji przy końcu zeszłego wieku, których dalszym ciągiem były wojny Napoleona I. Wpływ cywilizacyjny tych ostatnich najlepiej ocenić zdołamy, codziennie bowiem doświadczamy ich błogich skutków. Wielkie idee ugruntowane przez teroryzm we Francji, który nawiasowo mówiąc był koniecznym, uznane zostały przez całą Europę w skutek zwycięztw Napoleona I. Gdyby nie Jena i Wagram, system feodalny dotychczas panowałby jeszcze w Europie, a o konstytucji żadnemu monarsze by się nie śniło.

Cywilizacja im bardziej się rozwijała, tem więcej nabierała środków do rozprzestrzenienia się: żeby je wszystkie wymienić, określić i ocenić, potrzeba by śledzić jej pochód krok za krokiem we wszystkich krajach. Zamiast tego, wolimy raczej wspomnieć o odkryciu dokonanem w najnowszych czasach, a mianowicie, wytknąć szlak, którym jej prąd rozlewał się po ziemi. Poprzednio jednak musimy poświęcić kilka słów sprawie rozprzestrzenienia się rodu ludzkiego, z pierwotnej siedziby Lemurji po ziemi i powstania ras. Do niedawna jeszcze walczono z podaniem biblijnem, jakoby ludzkość pochodziła od jednej pary, najnowsze jednak badania nie tylko że nie obalają tego podania biblijnego, ale owszem potwierdzają je. Kwestja ta nie jest jeszcze dostatecznie rozstrzygniętą, nas zresztą nie wiele obchodzi, natomiast uznano fakt, że ludzkość, reprezentowana czy to przez jedną parę, czy też więcej, pojawiła się początkowo tylko w jednem miejscu, a mianowicie w południowej Azji, skąd się rozprzestrzeniła po całej ziemi. Nastąpić to musiało dopiero wtedy, gdy się ów pierwotny

*) Jakkolwiek niektórzy historycy, a między nimi Schlosser dowodzą, że wyprawa Aleksandra W. do Azji zniszczyła Helladę przez wprowadzenie rozwiązłego pierwiastku wschodniego w obyczaje greckie, nie można jednak zaprzeczyć faktu, że wszystkie gałęzie nauki europejskiej skorzystały wiele z doświadczeń Wschodu. Grecy stali się rozwiązłymi i upadli, ale za to poglądy ich rozprzestrzeniły się i udoskonaliły.

kraj przeludnił, część ludności wyruszyła dobrowolnie szukać sobie gdzieindziej siedzib, innych zaś zmuszono przez wojny do wydalenia się. W ten sposób ludy te, które opuściły swoje siedlisko, były w posiadaniu cywilizacji swego rodzinnego kraju, którą potem na własną rękę dalej prowadziły. Z początku nie mogły one i nie potrzebowały oddalać się daleko od swych pierwotnych siedzib, dopiero znowu w skutek przeludnienia i wojen odbywał się w nich ten sam proces, co w pierwotnem siedlisku człowieka i część ludności znowu musiała posuwać się dalej. W ten sposób przez długie wieki zaludniła się cała środkowa Azja, następnie, Afryka, Europa, Ameryka i Australja. Ponieważ dowiedzioną jest rzeczą, że ludzie w przedhistorycznych czasach znali żeglugę, musimy jako jeden jeszcze sposób rozszerzania się przyjąć przypadek. Podczas gwałtownej burzy kilka łodzi porwane zostały na pełne morze i zapędzone do nieznanego kraju. Rozbitkowie nie mając sposobu orjentowania się na morzu, nie mogli wrócić do rodzinnego kraju, pozostali więc tam i utworzyli naród. Kto wie czy nie tym sposobem Ameryka została zaludnioną. W jaki sposób powstały istniejące rasy ludzkie, mające tak wybitne znamiona, że się stały niezmiennemi? W inny sposób tego wytłumaczyć nie można, jak przez wpływy klimatyczne trwające przez wieki. Te wpływy nadały rasom właściwą barwę ciała, u jednych czaszkę wydłużyły, u drugich zwężyły, u jednych osadziły oczy prosto, u innych ukośnie. Rozumie się samo przez się, że zamiana taka trwała długie wieki, potrzeba bowiem było naprzód długiego czasu dla nadania człowiekowi pewnych znamion zewnętrznych, ale znamiona zewnętrzne musiały zmienić także odpowiednio jego organizm, aby się stać dziedzicznemi. Wytłumaczenie to powstania ras jest najracjonalniejsze, a potwierdzają je spostrzeżenia dokonane przez podróżników na Europejczykach zamieszkujących przez dłuższy czas inne części ziemi. Anglicy zamieszkujący od pokoleń Australję mają wybitne znamiona odróżniające ich od Europejskich rodaków.

Kraje leżące na południowym Wschodzie Azji, uposażone z największą hojnością od matki-natury, posiadające doskonałą konfiguracyę lądów, najobszerniejszą i stałą skalę klimatów, grunt urodzajny, spławne rzeki, obfitą faunę i florę, słowem wszystkie przychylne warunki, były najstosowniejszem siedliskiem pierwszych uorganizowanych ludzkich społeczeństw pielęgnujących cywilizację na obszerniejszą skalę. Tam też znachodzimy najstarsze państwa, których powstanie chronologja odnosi w zamierzchłe przedhistoryczne czasy: Chiny i Indje. Podczas gdy w Europie na początku tego tysiąclecia narody mało co wyżej stały, niż obecnie dzicy Amerykańscy, w Chinach na 2000 lat przed Chryst. widzimy już silnie ugruntowane państwo z wydoskonalonym systemem administracyjnym, to samo i w Indjach. Że Chiny są najstarszem państwem na ziemi, dowodzi już sam język Chińczyków, należący do grupy języków pierwiastkowych. Widoczna rzecz, że Chińczycy utworzyli państwo jeszcze w czasie, gdy mowa nie podniosła się po nad stan pierwiastkowy. Indjanie byli w posiadaniu ukończonej księgi ustaw (prawa Manu) na początku pierwszego tysiąclecia przed Chrystusem*), w czasie, gdy zaledwie co założono Rzym. Z Chin i Indyj rozpoczęła cywilizacja swój życionośny pochód i postępuje na Zachód, pasem ziemi, ograniczonym na południu zwrotnikiem Raka, a na północy 60 stopniem szerokości. Pochód swój znaczy ona kolosalnemi państwami Babilończyków, Asyryjczyków, Medów i Persów, dostaje się potem do Azji Mniejszej, a z tamtąd do Grecji, a następnie Italji. „Starożytny Rzym — mówi Hellwald*) — jest, że się tak wyrażę, ostatnim punktem rozwoju cywilizacji. To co pozostało z rodzimej kultury na zachód od Rzymu, jest zaledwie godne uwagi.“ Doszedłszy do Rzymu, prąd cywilizacji zmienił swój kierunek z zachodniego, na północny. Azjatycka cywilizacja przeszczepiona do środkowej i północnej Europy zmieniła się z gruntu i stała się cywilizacją *par excellence*. Kierunku pochodu cywilizacji ze Wschodu na Zachód, a następnie z południa na północ, nie można uważać jako niezmienne prawo wywołane przez jakieś siły tajemnicze. Cywilizacja postępowała w tym kierunku z tego prostego powodu, ponieważ na Wschodzie od Chin i Indyj Ocean nie dozwalał ludziom rozprzestrzeniania się, podczas gdy na Zachód otwarta była dla nich droga przez wspaniałe i żyźne wyżyny Azji środkowej. Kierunek ten, w którym w starożytności cywilizacja z pierwotnego swego siedliska postępowała, a który nie wytłumacza cywilizacji mieszkańców Ameryki przed odkryciem tej części ziemi**) uległ rozmaitym zmianom, a obecnie stał się wręcz przeciwnym. W starożytności prąd oświaty greckiej, której początku szukać trzeba w Egipcie, rozlewał się na Wschód, a kolonje greckie na wybrzeżach Azji Mniejszej okazują jego najwybitniejszy kierunek, następnie cywilizacja Rzymu, wyrosła z greckiej, pochłonęła Helladę, znajdującą się na Wschodzie od wiecznego miasta. W naszych czasach Europa cywilizuje Azję, a dalej jeszcze na Zachód położona Ameryka, pozostawia obecnie Europę daleko za sobą.

Niejeden zapewne z czytelników zrobił nam już nie jednokrotnie zarzut, że prawie w każdem zdaniu używamy wyrazów „cywilizacja,“ „rozwój duchowy“ itp. a dotychczas nie wyjaśniliśmy co przez nie rozumiemy. Niezaspokoiliśmy dotychczas ciekawości czytelników z tego powodu, ponieważ to wszystko co dotychczas napisaliśmy, jakkolwiek, pochlebiamy sobie, że samo przez się jest dosyć ciekawem i zastanowienia godnem, jest właściwie tylko materjałem, posłużyć mającym do określenia cywilizacji, które zaraz podamy. Właściwem naszem zadaniem jest to określenie, a rospada się ono na następujące pytania: 1o co to jest cywilizacja (postęp), 2o w jaki sposób powstała i 3o dokąd dąży. W tych trzech pytaniach streszcza się cała filozofja dziejów. Odpowiedź na nie byłaby dla nas bardzo ułatwioną, gdybyśmy byli mogli podać szczegółową historję rodu ludzkiego we wszystkich kierunkach pracy fizycznej i umysłowej, ponieważ tego jednak nie można wymagać od krótkiej rozprawki, której sam tytuł nie rości sobie pretensji do wyczerpania olbrzymiego przedmiotu, przedstawiliśmy czytelnikowi w treściwych zarysach stan praczłowieka, początkowe objawy cywilizacji, a nakoniec drogę, którą postępowała. Teraz prosimy czytelnika, ażeby przedstawił sobie stan ludzkości obecny i porównał go ze stanem praczłowieka. Porównanie to ułatwimy mu, wskazując punkta, podług których ma się orjentować, a czynimy to dla tego, ponieważ to porównanie zastąpi nam w zupełności chronologiczne przedstawienie toku dziejów. Różnice między praczłowiekiem a tegoczesnym ucywilizowanym Europejczykiem są tak bijące w oczy, że przez to właśnie utrudniają porównanie. Porównanie to jednak okaże się łatwem, gdy je ograniczymy do następujących trzech głównych punktów, a mianowicie: po pierwsze co do stanowiska człowieka względem natury, po drugie pod względem urządzenia społecznego i po trzecie: co do pojęć abstrakcyjnych i zastosowania tychże do życia, a mianowicie: religji i moralności. Porównanie to kolejno podług wytkniętych punktów będziemy przeprowadzać naznaczając w krótkości, jak się człowiek w tym trojakim względzie przemieniał.

Co do pierwszego: Człowiek pierwotny był zupełnie na łasce natury. Nagi, okryty na ciele rzadkim tylko włosem, bezbronny, natura bowiem nie dała mu ani silnych kłów, ani twardych i ostrych pazurów, w porównaniu do większej części otaczających go zwierząt słaby i mało zwinny, żywił się z trudnością, narażony był na wszystkie nieprzyjemności zmian klimatycznych, drżał słysząc ryk gromu lub huk wybuchającego wulkanu, nie miał gdzie schronić się przed powodzią, słowem był igraszką bezrozumnej i bezlitośnej natury. Gdyby taki stan trwał długo, musiałby się wkrótce zakończyć zupełną zagładą rodu ludzkiego na ziemi. Natura, którą teraz człowiek nazywa poetycznie i nie bez słuszności swoją matką, w pierwotnym stanie człowieka, była jego zaciętą nieprzyjaciółką. Człowiek musiał z nią walczyć, aby siebie ratować. Nieobrobiona pałka, której człowiek zaczął używać do zabijania zwierząt była pierwszem narzędziem cywilizacyjnem nie ustępującem wynalezieniu później busoli. Słaby człowiek staje z nią do walki z daleko mocniejszemi od niego zwierzętami i pokonywał je nie zapomocą siły, lecz stworzoną przez siebie samego bronią. Wkrótce człowiek

*) Jak zawsze podania indyjskie posuwają czas powstania praw Manu w czasy przedhistoryczne, uczeni europejscy postawili za czas, w którym te prawa ujęte zostały w kodeks r. 700 przed Chr. Nie przeszkadza to jednak odnieść powstanie tych praw w czasy o wiele dawniejsze, tak samo spisanie poematów Homera za czasów Periklesa, nie każe przypuszczać, że Odysca i Hiada dopiero w 5 wieku po Chr. powstały.

*) Culturgeschichte str. 69.

**) Po odkryciu Meksyku przez Fernanda Korteza i Peru przez Almagra i Pizzara znaleziono w tych krajach oryginalną i bardzo wysoko posuniętą cywilizację. Meksyk był wybornie zorganizowaną monarchją dziedziczną, posiadał doborową armję, która używała chorągwi i muzyki podczas pochodu, Tezkuko stolica tego kraju była pysznem miastem, a pałac królewski znajdujący się w niem z znajdującemi się około niego ogrodami pełnemi dzieł sztuki wyrobionych z marmuru i alabastru, uważany był przez Hiszpanów jako cud świata. Meksykańczycy mieli właściwe sobie pismo, którem pisali na skórach lub papirusie, znali rachubę czasu zbliżoną do kalendarza juljańskiego, a w wiadomościach inżynierskich postąpili bardzo wysoko, mieli widowiska sceniczne i używali dobrze urządzonych poczt. Zbliżoną do tej cywilizacji posiadało i Peru, ze stolicą Kuzko. Tak Meksykańczycy jak i Peruwiańczycy nie używali żelaza, tylko bronzu, co zdaje się potwierdzać przypuszczenie, że stan ich cywilizacyjny był taki sam (z uwzględnieniem wpływów geograficznych) jak azjatyckich i europejskich narodów z epoki bronzu. Oryginalną tę i wielce pouczającą cywilizację Peruwiańczyków i Meksykańczyków, zniszczył do szczętu fanatyzm i barbaryzm zdobywców hiszpańskich. Bibljoteki popalono, świątynie i posągi poniszczono, miasta zburzono, a waleczną i ucywilizowaną ludność częściowo wymordowano, a częściowo zmuszono do ukrycia się w niedostępnych lasach i zatarcia powoli nabytej cywilizacji. Postępowanie Hiszpanów w Ameryce pozostanie na zawsze plamą w historji Europy. Ciekawe szczegóły o pierwotnej cywilizacji w Ameryce znajdzie czytelnik w wybornej historji Meksyku i Peru Prescotta, dokąd go odsełamy.

zaczął się bronić przeciw elementom; sztucznie rozniecany ogień ogrzewał go, podczas gdy natura kostniała od zimna, na płaszczyźnie nie bał się ulewy, bo go przed nią chronił dach przez niego wybudowanej chaty, słowem z każdym dniem zastępował sztuką naturę. Dzisiaj człowiek jest po części panem natury; wbrew naturze w północnych krajach każe rosnąć południowym roślinom, topi najtrwardsze metale, czego sama natura na powierzchni ziemi uczynić nie potrafi, bezpiecznie pruje opancerzonymi parowcami i śrubowcami wzburzone fale Oceanu, za pomocą pary dokonuje cudownych rzeczy, łączy morza ze sobą (kanał Suezki) gromy łowi na żelazne konduktory i czyni je nieszkodliwymi, kolejami żelaznemi i telegrafami zmniejsza przestrzeń, chce zapanować nad najbardziej upornym elementem, powietrzem (balony), a nawet kusi się o zmianę klimatów (projekt zalania Sahary), tak jak już zmienił w wielu miejscowościach faunę i florę. Za pomocą analizy spektralnej człowiek bada pierwiastki odległych o miljony mil planet, chirurgja zastępuje członki ludzkie aparatami sztucznymi, chemja tworzy połączenia nie znajdujące się w naturze, a z pojedyńczych pierwiastków wytwarza skomplikowane związki organiczne, których wytwarzanie było dotychczas wyłącznym przywilejem wewnętrznego organizmu zwierzęcego. Któż spoglądając na stanowisko człowieka wobec natury teraz i porównując je ze stanem praczłowieka, nie uzna faktu, że *człowiek w walce z naturą wychodzi zwycięzko i że się coraz więcej emancypuje z pod jej wpływów?* Człowiek ucywilizowany, rzucony w obecnych czasach w kraj jak najbardziej nie przychylny cywilizacji — bynajmniej jej nie straci. Wpływy natury teraz nie zdołają nawet zupełnie zmienić barwy jego ciała, bo sztuczne sposoby będą te wpływy niweczyć, a przynajmniej równoważyć. Klimat obecnie nie zdoła wytworzyć charakteru. Natura wpływ swój na wewnętrzną istotę człowieka straciła prawie zupełnie.

(Dok. nast.)

Piśmiennictwo polskie.

(Kazimierz Górski, Borys ustęp z dziejów dwunastego wieku, We Lwowie, Nakładem księgarni Władysława Bełzy. 1876.

Syn Kolomana, a właściwie rusinki Eufemji, żony jego, Borys, to prawdziwy typ awanturnika XII. wieku. Jako pretendent do korony węgierskiej, szuka on po całym świecie spólników i patronów dla swej sprawy, i tak zawierusza przez długie lat dziesiątki ościenne Węgrom państwa. Skoro po śmierci Stefana, syna Kolomanowego, zasiadł Bela II brat stryjeczny Stefana na tronie węgierskim, błąkający się po świecie Borys, umyślił wydrzeć Beli koronę. Pozyskał on dla swej sprawy sprzymierzeńca w Bolesławie Krzywoustym, czem stał się tak dla króla jak i dla Polski przyczyną zawodów i kilkuletnich klęsk. Już 1132 r. przygotował Bolesław wyprawę przeciwko królowi Beli, w sprawie Borysa, ale przeszkodził mu obecnie Sobiesław książę czeski a sprzymierzeniec Beli, który równocześnym napadem na Szląsk w październiku 1132 r. zmusił króla Polski do odwrotu. Znowu tedy gotuje Bolesław w roku następnym wyprawę na Węgry i znowu Sobiesław napada na granice Polski i strasznie niszczy ziemię szląską. Ale i to nie zdołało zachwiać Bolesława w jego postanowieniu. W roku 1133 wyruszył przeto Bolesław z Borysem do Węgier. Wyprawa nieudała się wcale; niespodziewane posiłki węgierskie, przyczyniły się do klęski, którą poniósł waleczny król Polski 22 lipca 1133 r.

Gdy król Bela starał się u Lotara, aby tenże pogodził spory jego z Polską, przygotował Bolesław Krzywousty nową na Węgry wyprawę. Przez podstęp i zdradę poniósł on i tym razem dotkliwą klęskę, w pośród której, zaledwie sam uratował życie. Awanturniczemu Borysowi tylko, ma Polska do zawdzięczenia, niepowodzenia i straty, które wtedy ponosiła. Sam król musiał się stawić na wezwanie Lotara na sejm do Merzeburga, gdzie się zgodził na upakarzające żądania cesarza. Z Sobiesławem czeskim pogodził się Bolesław 1137 r. O Borysie wiemy tyle, że 1136 r. ożenił się z jedną z córek Bolesława.

Po śmierci Bolesława znika nam Borys z oczu. Ze śmiercią króla ulotniły się dlań w Polsce nadzieje, aby mógł tamże znaleźć poparcie. Dopiero w 1146 r. wypływa na widownię w Czechach. Wystąpił tam przeciwko młodemu Władysławowi, synowi zmarłego w 1140 r. Sobiesława, najstarszy Przemyślida Władysław II. Sobiesławowicz nie mając w Czechach poparcia, udaje się o pomoc do króla Węgier. Gejza II przyjął go chętnie i zerwał zarazem z Czechami. W samych Czechach powstają swary i wojny domowe a Władysław II szuka pomocy u króla Konrada III. Aby się zaś od strony Węgier zabezpieczyć, umyślił użyć do tego za narzędzie Borysa, który snać podówczas w Konstantynopolu przebywał. Znowu tedy smutny szereg wypadków, które Borys w ruch wprowadził, mimo że nigdzie na pierwszy plan nie występuje. Cesarz Konrad mimo wcale nie pocieszających stosunków, obiecuje Borysowi pomoc. Borys opanowuje Preszburg, Gejza atoli w r. 1146 pobija jego i jego sprzymierzeńców. (Dok. n.)

Wystawa sztuk pięknych w Paryżu

w roku 1876.

(Dokończenie).

Przechodzę do rzeźby.

Jeżeli będziemy się rządzić nie własnym gustem a głosem publicznej famy i wziętości, to zatrzymamy się naprzód przed grupą pani Sary Bernhardt pod tytułem „Po burzy“ i takowej tryumfalne przyznamy pierwszeństwo. Grupa ta wyobraża starą rybaczkę, trzymającą na kolanach ciało utopionego syna i wpatrującą się w martwą twarz jego z boleścią. Z boleścią? Tak by być powinno, lecz widzi nam się, że tak nie jest. Oblicze starej rybaczki wyraża raczej przestrach, osłupienie, ale nie boleść. Stąd sprzeczność między postawą ciała nieszczęśliwej matki a wyrazem jej twarzy. Gdyby zwłoki syna leżały na piasku wyrzucone falą, przestrach i osłupienie malujące się w oczach matki, gdy na nie pierwszy raz rzuca okiem, byłyby naturalnemi i nie potrzebowałyby tłumaczenia; lecz grupa wspomniana wyobraża co innego. Oto wyobraża ona biedną matkę nie w pierwszej chwili rozpaczy, nie kiedy się dowiaduje o spadającem na nią nieszczęściu, lecz kiedy usiadłszy już spokojnie na kamieniu i położywszy przed sobą zwłoki nieszczęśliwego dziecięcia, wpatruje się w rysy ukochane i oderwać od nich oczów nie może. Taki stan ducha zwiastuje żałośnie opuszczona postawa jej ciała. Tu więc przestrach i osłupienie powinne by ustąpić niemej, gwałtownej boleści. Sprzeczność, niepogodzenie pomysłu z wykonaniem rażące. Szukając skrzętnie możebyśmy jeszcze więcej znaleźli usterek. W ogóle twierdzić by można, że rylec i dłuto są za ciężkie dla delikatnej dłoni kobiecej i że energiczniejszego potrzebują pracownika. Miękkość usposobień kobiety odbija się we wszystkiem co wychodzi z jej ręku. Dobrze kiedy przedmiot traktowany, jak to niżej zobaczycie, tego wymaga. Lecz kiedy przeciwnie, jak tu naprzykład? To na kolanach rybaczki ciało, jestże muskularnem ciałem majtka przywykłego do drapania się na maszty okrętowe, do czepiania się lin nad otchłanią zwieszonych? Nie! Miękkie, wiotkie, zaokrąglone mogło by bezpiecznie przedstawiać wypieszczonego w buduarach paniczyka. Te i inne usterki nie przeszkadzają jednak olbrzymiej wziętości utworu. Do wziętości przyczynia się tu w znacznej mierze względna wyjątkowość faktu, mianowicie, że artystka do tak trudnej i tak sprzecznej z usposobieniami kobiety wzięła się sztuki. W każdym razie powodzenie niesłychane.

Pani S. Bertaux „Dziewczę w kąpieli“. Ot co tu, to miękkość dłoni kobiecej jest wcale właściwa. Mężczyzna może by nie potrafił; mężczyzna może by nie zdołał w tak gibko leniwe zgięcia sztywnego nałamać marmuru. Potrzeba było na to wdzięku, gracji niewieściej. „Dziewcze w kąpieli“ z temi, wierszami Wiktora Hugo, za epigraf

„Elle est là, sous la feuillée,
Eveillée
Au moindre bruit de malheur;
Et rouge, pour une mouche
Qui la touche,
Comme une grenade en fleur“.

nie potrzebuje dalszych opisów. Jak wreszcie opisywać to, co nie przemawia do myśli, a tylko do oczów. To widzieć potrzeba.

Dubois (Pawła), tego samego, który jako portrecista „swych dzieci“ niedawno figurował przed wami, dwa posągi jeden wyobrażający „Odwagę wojenną“ a drugi „Miłosierdzie“. Oba przeznaczone do miasta Nantes na nagrobek pochowanego tam jenerała La Moriciére. Wzniosły utwór pełen wdzięku i energji. Dwa te przymioty zbyt rzadko spotykają się jednocześnie, byśmy im należnego nie złożyli hołdu. Wyraźmy nawiasem zadziwienie, co może znaczyć „miłosierdzie“ na nagrobku jenerała? Cnota to piękna, ale nie figuruje w rzędzie wojskowych i nie słyszeliśmy, by się nią tak bardzo odznaczał zgasły wojownik. Dowodził wojskami Papieskiemi, złożył broń przed Włochami w Ankonie. To o nim wiemy, lecz to nam rzeczy nie tłumaczy.

P. Chapu (Henryka) „Biust Aleksandra Dumas (ojca)“ z foyer teatru Odéon jeśli się nie mylimy. Przepyszne życiem, prawdą, energją. Jeden rzut oka na tę olbrzymią lasem kędzierzawych włosów pokrytą głowę, tłumaczy nam rozbujałość fantazji, jaką pisarz ten w utworach swych odznaczał się za życia. Nie brakło jej miejsca na gnieżdżenie się w tej rozwiniętej nad miarę czaszce, która była w stanie pomieścić podwójną ilość zwykłego człowieczego mózgu. To przypisywanie tak abstrakcyjnego jak fantazja przymiotu, tak pozytywnym jak ilość mózgu przyczynom, zakrawa na gruby materjalizm nieprawdaż? i urazi może spirytualne czytelników przekonania. Nie chcielibyśmy tego. Urywamy przeto obserwację zbyt od rzeczy oddaloną i wracamy do biustu, o którym nic więcej powiedzieć nie możemy, jak że jest przepyszny życiem, prawdą i energją.

P. Epinay. „Dawid z procą oczekujący na Goliata“. Zdziwiłoby nas mocno, gdyby ten Dawid był w stanie zrobić coś złego Goliatowi. Ma on bowiem minę nastraszonego żydziuka, któremu proca z drżącej wypadnie dłoni. Chyba, że autor chciał wyrazić przez to temci większą potęgę Jehowy, im bardziej nieudolnemi posługuje się narzędziami i przedstawił nam Dawida przed zstąpieniem nań Ducha Bożego. Aleź proca w ręku oznacza rozpoczęcie boju. Spiesz więc spiesz Duchu! bo Dawid p. Epinay bardzo ciebie potrzebuje.

P. Chrétien: „Jeniec wojenny“. Gall jakiś, podkomendny zapewne Vercingetorix'a wzięty do niewoli, bezbronny, przykuty do słupa, z skrępowanemi w tył ciała rękoma, nie traci rezonu i wrogów hardem wyzywa spojrzeniem. Utwór imponujący. Postawa niewolnika może zanadto teatralna, lecz to nie szkodzi i im się dalej myślą w barbarzyńskie przeniesiemy czasy, tem się nam ona wyda naturalniejszą. Ostentacja, miłość zewnętrznych, wyrazistych manifestacyj, wspólne są dzieciectwu wszystkich ludów. Dziś jeszcze Indjanin idąc do boju wojenne wydaje okrzyki i rozmaite mniej więcej malownicze

przybiera pozy. Gdyby tego nie czynił, miałby się za mniej odważnego. Z tej wychodząc zasady Gall także musiał się bundiuczyć u słupa. Gdyby był stał spokojnie, posądzono by go o tchórzowstwo. Imponujący utwor i z wielką wykonany energją.

P. Nicanor z Renca (Chili, Ameryka południowa): „Biust pana Domejko“ rektora uniwersytetu w Santiago. Zrozumiecie, iż nie wiem czy podobny. Ręczyć jedynie mogę za staranność i werwę wykonania, a cytuję to dzieło głównie dla tego, iż przedstawiając oddalonego a zaszczyt nam przynoszącego rodaka, tem samem już na naszą zasługuje uwagę. Szczerze się musiał cieszyć staruszek lirnik Bohdan Zaleski, oglądając wizerunek oddalonego przyjaciela i kolegi.

P. Passage: „Joanna d' Arc składa zwycięski sztandar swój na ołtarzu“. Niestety! skazani jesteśmy widocznie na powtarzanie jednych i tych samych rzeczy nieudałych...

P. Martin: „Biust l' Abbé de l' Epeé“ dobroczyńcy głuchoniemych, dla których pierwsze zakłady powstały z jego inicjatywy. Co w pracy tej na główną zasługuje wzmiankę, to iż dziełem jest głuchoniemego artysty. Pamiątka wdzięczności i utwor bardzo udatny. Dwojaki tytuł do zajęcia.

P. Vasselot: „Tezeusz znajdujący miecz swego ojca.“ Bardzo skomplikowany tytuł do bardzo prostej przyczepiony rzeczy. Naga postać męska schyla się, by podnieść miecz leżący na ziemi oto wszystko. Studjum pochylonego ciała ludzkiego, zgiętego grzbietu, wyłamanych bioder i nadto nic więcej. Po cóż więc ten szumny tytuł. Kto w tem pozna Tezeusza? Alboż to Tezeusz inaczej się schylał po miecz leżący na ziemi, aniżeli by to uczynił inny jaki człowiek? Jakież szczególne do czynu tego Tezeusza autor przywiązuje znaczenie? Nic mię tak nie gniewa jak te pseudo klasyczne niektórych artystów pretensje. Zdaje im się, że jak nazwą posąg swój Tezeuszem Perseuszem itd. to pewnej dodadzą mu wartości. Dziwactwo! Niech posąg będzie złym a żaden Tezeusz go nie zbawi. Niech będzie dobrym a przejdzie bez Tezeusza. Tak się właśnie dzieje z pracą pana Vasselot. Obeszłaby się bez tytułu.

P. Cordier: Reprodukcja posągu „Krzysztofa Kolumba“ wzniesionego w mieście Meksyku. Rzecz uderzająca nie tyle dobrocią wykonania ile bogactwem użytych na nią materjałów. Onyx i srebro. Reprodukcja musiała grubo kosztować autora a wątpiemy by mu się opłaciła.

P. Ziwny: „Portret pani Sary Bernhardt“ medaljon. Jeszcze jeden. Oto wyznać trzeba osoba która boi się, by potomność o niej nie zapomniała i która przekaże jej swe rysy w licznych rozmaitego rodzaju wizerunkach. Nie sądzimy by medaljon pana Ziwny pierwsze między niemi zajął miejsce.

P. Clésinger (zięcia Pani Georges Sand): Biust kobiety, w szyszaku, w zbroi, z sfinksem na piersiach. Tytuł „Francja“. Dla czego Francja? Czemu nie Anglja, Grecja lub Portugalja? Co jest w tej uzbrojonej niewieście, coby koniecznie Francję znamionowało? Nie dopatrzyliśmy nic, ale tak chciała fantazja artysty, niech że więc tak będzie. „Francja“ pana Clesinger o wiele gorszą jest od wielu innych dawniej przez nas widzianych utworów tego artysty.

P. Valton: „Boa połykający królika“. Bardzo niczego grupa. P. Valton to uczeń nieodżałowanego Barye'a. Poznać to, jak się mówi po zacięciu. Barye stworzył jak gdyby odrębną szkołę tak zwanych *les animaliers* i p. Valton pewne jeszcze poczyniwszy postępy, może być kiedyś jedną jej ozdobą.

Prócz wyżej wymienionych godne jeszcze widzenia:

„Merkury“ p. Delorme, „Eros“ p. Coutan, „Biust Carpeaux“ p. Truffot, „Tragedja i Komedja“ p. Roubaud, „Rebeka“ p. Louis-Noël i wiele, wiele innych jeszcze mniej lub więcej udatnych a niepodobnych do zliczenia.

Koło rzeźbiarzy Polskich reprezentowanych w Paryżu ogranicza się na dwóch.

Godebski (Cyprjan), uczeń p. Jouffroy. Dwa biusty jeden pod tytułem „Odium“ (Nienawiść) wyobraża fantastyczną głowę kobiety; drugi przedstawiający mężczyznę pana ***. Własnością jest cesarskiego teatru w Petersburgu.

Grabowski (Feliks), uczeń p. A. Dumont „Nadzieja“ płaskorzeźba w marmurze. Prace to dobrze świadcząca o talencie tych penów z których zresztą pierwszy, autor nagrobku Teofila Gautier na cmentarzu Montmartre, w Paryżu, nie od dzisiaj artystycznemu znajomym jest światu.

Otośmy u kresu pracy żmudniejszej, niżli by się to na pozór zdawać mogło. Ktoś inny sam głęboki znawca dokonał by jej może jednym pociągiem pióra. Ale my profani, w obawie napisania bredni, musieliśmy i do niejednego zajrzeć dziennika i niejednego specjalistę, wyciągnąć jak się to mówi, na słowo, zanim skleciliśmy to, co leży przed Wami.

Paryż 1876.

J. S. Chamiec.

Wystawa powszechna w Filadelfji.

(*Ciąg dalszy*).

III.

Wejdźmy na chwilę przez gmach główny (Industrial Hall) do obrębu wystawy, i przypatrzmy się najprzód pobieżnie bogactwom przemysłu tam nagromadzonym, zwracając głównie uwagę na rzeczy ogólne, najbardziej w oczy bijące.

Trzecią część całego gmachu od wschodu zajmuje wystawa wyrobów Stanów Zjednoczonych; naturalnie jest ona najpiękniej i najsystematyczniej urządzona na całej wystawie, jak się tego spodziewać należało. Miejsce najpokaźniejsze około *rond point* zajęły wyroby ze srebra i złota oraz klejnoty. Sławne firmy amerykańskie Tiffany, Starr, Marcus, Codwell, Gorhan pokazują tu kosztowności ze złota kalifornijskiego i srebra z min wschodnich stanów. Obok nich przepyszne, gustowne, lśniące wyroby platerowane fabryki Rew'a z Bostonu.

Tkaniny amerykańskie nie prezentują się tak jak tego w ojczyźnie bawełny spodziewać się należało. Tkanie nie dokładne, rysunki farbiarskie bez smaku. Sukna niczem się nie odznaczają, lecz w zamian wyroby krawieckie prezentują się przepysznie. Szaf z wystawami krawieckiemi niezmiernie wiele, a we wszystkich coś oryginalnego spostrzedz można.

Marmury, alabastry i inne kamienie przerobione na wazy, baseny i rozmaite ozdoby przedstawiają dobrze niezmierne pod tym względem bogactwo ziemi.

Inżynierja amerykańska, słynna na całym świecie ze swych oryginalnych i praktycznych pomysłów reprezentowana jest ogromną ilością planów rozmaitych, modeli mostów, min, przekopów ziemi w celu okazania pokładów. Spotkać zawsze w tem miejscu można techników ze wszystkich stron świata pilnie przeglądających plany i siedzących ciągle w tem miejscu.

Dalej spotykamy wystawę obok leżącego Meksyku. Tutaj rzucają się naturalnie w oczy bogactwa mineralne, wydobywane z kopalń, które dawniej tyle srebra Hiszpanom dostarczały. Ciekawym jest odłam rudy srebrnej ważący 1300 funtów. Obok nagromadzone są najrozmaitsze ciekawe okazy mineralne, drzewa, rośliny lekarskie, farbiarskie itp. surowe produkty. Meksyk, będący pod ciągłą klątwą rozruchów, zamieszek, krwawych rewolucyj, nie mógł się rozwinąć w kierunku przemysłu i pod tym względem jego wystawa smutno się przedstawia.

Wystawa brazylijska lśni od barw najrozmaitszych. Istny obrazek z bajki o strefach podzwrotnikowych. Wachlarze z piór ptasich o czarownych kolorach, drobne wyroby z iskrzących się piórek kolibrów, przepysznej zielono-złotej barwy owady oprawne w złoto przedstawiające kolczyki; obok tego rozmaite gatunki kawy, imbiru, drzew i krzewów farbiarskich, manioki, kauczuku, chiny, salsaparylli itp. rzeczy.

Z dalekiego zachodu przenieśmy się do naszej starej Europy. Bezwątpienia najwięcej budziła ciekawości wystawa państwa niemieckiego. Kraj, który kilka lat temu zgnębił potężnego wroga, który takie sumy olbrzymie ściągnął do swego domu, musiał przecież po takich tryumfach z takiemi skarbami rozwinąć się olbrzymio pod względem przemysłowym i artystycznym. Tymczasem wystawa zupełnie coś innego okazała. Ci, którzy się mienią przodownikami cywilizacji, zdobyli się zaledwie na najpospolitszą miernotę.

Nigdy może Germanja nie odebrała dotkliwszego ciosu jak obecnie. Dość jest przejrzeć sprawozdanie urzędowe komisarza niemieckiego profesora Reuleaux, dyrektora berlińskiej Akademji przemysłowej. Znakomity profesor jest obecnie największą techniczną powagą w Niemczech, i dla tego też zdania jego nie mogli Niemcy pominąć milczeniem i musieli przyjąć je w pokorze. Wystarczy tutaj przytoczenie kilku ustępów stojących na czele sprawozdania. Zaczyna więc w te słowa:

„Nie można utaić, a nawet jest rzeczą konieczną wyznać to głośno, że na wystawie filadelfijskiej Niemcy doznały „ciężkiej porażki;“ niezmierna większość naszych wyrobów stoi bez porównania niżej od przedmiotów nadesłanych z innych krajów; niektóre tylko wytrzymują porównanie, takich zaś, które przewyższają swoją wartością, znajduje się niesłychanie mała ilość.“

Gdzież się podziały owe fabryki, które miały jak grzyby po deszczu powstać w Niemczech całych, gdzie się podziały owe warunki lepszego rozwoju przemysłu w skutek łatwiejszej komunikacji mającej nastąpić po zjednoczeniu Niemiec? Nawet zegarmistrzowstwo nie podniosło się wcale, chociaż tyle francuskich doskonałych „zegarków“ znalazło się w Niemczech po wojnie, a mogłyby przecież służyć jako doskonałe wzory! Lecz słuchajmy dalej nieocenionego sprawozdawcy:

„Prasa tutejsza zwłaszcza niemiecko-amerykańska napada na oddział nasz bez litości. Musimy słuchać niezmiernie gorzkich słów prawdy i oczekiwać ich nadal. Z pewnym rodzajem zaciekłości posuwającej się nieraz za daleko, wytykane są słabe strony przemysłu niemieckiego; każda choćby najmniejsza wada, zostaje odszukaną i ujawnioną. Powód tego rozdrażnienia, które zapewne z czasem ustąpi miejsca większej bezstronności daje się poniekąd usprawiedliwić. Przez całe lata Niemcy amerykańscy rozprawiali o wyrobach jakie odrodzone i spotężniałe Niemcy przedstawią; zapowiadano z dumą, że dawna (charakterystyczne!) ich ojczyzna jeśli nie zupełnie resztę narodów pozostawi w cieniu, to przynajmniej w wielu razach stanowczą nad niemi otrzyma przewagę. I oto okazało się, że nadzieje te były mylne, że raczej nastąpił wprost przeciwny rezultat, ztąd więc zawiedzeni przyjaciele nasi, zamienili się nagle w zaciętych przeciwników i zoilów. Być może dowodzą oni i teraz jeszcze przyjaźni, stawiając publicznie przed oczyma Niemiec prawdziwe źwierciadło, które grono przyjaciół naszych w Europie tak często w mniejszych rozmiarach już dawniej nam pokazywało, chociaż im wierzyć nie chciano. Nowe Niemcy znarowiły się kadzidłem pochlebców swoich, frazes o ich stanowisku i przeznaczeniu zbyt często był powtarzany, hymny o ich chwale zbyt często śpiewane. Dziś porażka nasza nie może uledz zaprzeczeniu.“

Co dotąd szanowny profesor mówi, stosuje się głównie do przemysłu. Na miejscu będzie tutaj wspomnieć o ciosie zadanym tego roku; uczonym niemieckim. Przypomnijmy sobie sprawę starożytności moabickich i kłótnię o ich prawdziwość z uczonymi francuskiemi. Toż nareszcie sławny Mommsen musiał w parlamencie niemieckim powiedzieć, że sposób prowadzenia polemiki w tej sprawie ze strony uczonych niemieckich wstyd im tylko przynosi. A gdzie się podziały owe tradycyjne „powaga i spokój“ nauki niemieckiej.

Kilka wierszy dalej w sprawozdaniu urzędowem znajdujemy co następuje: „Sens moralny wszystkich zarzutów streszcza się w zdaniu, że zasadą przemysłu niemieckiego jest robić tanio a źle. W istocie przemysł nasz pierwszą część tej zasady przyjął bez złej myśli — druga zaś wynika jako skutek poprzedniej. Pomimo, że wielu dzielnych przemysłowców potępia tę metodę i usiłuje stawić jej opór, pomimo, że nie jeden z miłujących serdecznie sprawę naszego przemysłu, oświadczył się przeciw takiej zasadzie, zwyciężyła ona jednak i teraz ujawniła się najwyraźniej w oddziele naszej wystawy.“

Dalej sprawozdawca objaśnia czem jest owo niemieckie „delikatne poczucie smaku.“ Jest to jedno z miejsc najboleśniej Niemców sądzących, że nowe odrodzenie wprowadzają, uderzających. „Niemcy umieją w zakresie przemysłu i sztuk pięknych wynajdywać tylko motywa tendencyjne, które w zapasach współzawodnictwa powszechnego są niestosowne; odczuć zaś piękność nie tendencyjną, samą w sobie nie są

już zdolni. Gdyśmy to zdanie usłyszeli, przejęci byliśmy wstydem na widok całych bataljonów naszych Germanji, Borussii, wizerunków cesarza Wilhelma, księcia następcy tronu; figur Bismarka, Moltkego, Roona z porcelany, z bronzu, z cynku, z żelaza, z gliny, malowanych, haftowanych, lepionych, drukowanych, litografowanych, tkanych itp. W oddziale sztuk pięknych mamy aż dwa Sedany. Co sobie myślała komisja Sztuk pięknych przyjmując te dwa obrazy. Albo i w oddziale machin, siedem ósmych części zajmują olbrzymie działa Kruppa, które zdaje się jak gdyby groziły reszcie narzędzi pokojowych wystawionych przez inne narody. Czyż to ma być w samej rzeczy obraz „posłannictwa niemieckiego?“ Inną wadę naszą stanowi brak smaku w rzeczach przemysłu i sztuki, tudzież brak postępu w rzeczach technicznych. Wszystkie narody, które wysłały swoje produkty na wystawę, uczą nas czegoś, tak mówią krytycy tutejsi — od Niemiec jednych tylko niczego nauczyć się nie można. Wyrok to surowy, ale prawie zupełnie słuszny (Hart aber beinahe ganz wahr.)

Te słowa wypowiedziane oficjalnie przez jedną z pierwszych powag niemieckich wystarczają najzupełniej do scharakteryzowania wystawy niemieckiej.

Z tego świat może się przekonać, jaką jest właściwie cywilizacja niemiecka. (Dok. nast.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Mieszko II przez Dr. Anatolego Lewickiego str. 122 (odbitka ze sprawozdań wydź. hist. fil. Akad. umiej. w Krakowie).

Mało wychodzi dziś rozpraw, któreby tak dobrze jak ta były napisane – zadowala ona tak zwykłego czytelnika pięknością formy, jak ścisłego badacza nieprzepartymi dowodami. — Czasy Mieszka II bardzo są zawikłane – z kilkunastu częścią sprzecznych zapisków kronikarskich utworzyć piękną całość to już nie zwykła szablonowa praca -- to sztuka, a nie osiąść w tych warunkach na mieliźnie hipotez swych poprzedników, to świadczy o bardzo trzeźwym zmyśle badawczym autora. Po krótkim wstępie następuje w rozdziale pierwszym ocenienie dotychczasowego stanowiska Polski tak w stosunku do innych państw: słowiańskich czeskiego i ruskiego jak niemniej do światowładczego imperium rzymsko-niemieckiego i nowo zorganizowanych Węgier; ocenienie to podaje autor w tym celu, aby tem jaskrawiej przedstawić położenie wstępującego na tron w r, 1025 na tron Mieszka. W rozdziale drugim przechodzi autor potomstwo Bolesława Wielkiego i wykazuje wbrew poprzednikom swym na temże polu, iż B. miał trzech synów i cztery córki. Poczem w dalszym ciągu rozbiera czyny Mieszka jeszcze za życia ojca i charakteryzuje go w ten sposób: „Ale też te przymioty (panowanie nad sobą, posłuszeństwo, karność, zręczność dyplomatyczna) czysto ludzkie zdały się górować w jego osobistości, więcej był on człowiekiem, niżli monarchą. Brakło mu przedewszystkiem, tak się zdawało, tej energji ducha, która bez względu na osobiste stosunki i głosy przeciwne napiera go nieustannie w raz obranym kierunku — przymiotu niezbędnego dla władcy narodu (str. 47)“. W rozdziale trzecim najdłuższym kreśli autor panowanie Mieszka, walki jego z cesarstwem i wygnanymi braćmi, jak niemniej spory familijne z Rychezą żoną – i kończy je słowami: „Jeśli Mieszko...... nie upadł jeszcze na duchu lecz szamotał się dalej z przeciwnościami losu: toć już zaiste trudno pzebaczyć niesprawiedliwość, jaką mu wyrządziła potomność, że do dziś jeszcze, myśląca nawet część jej, chciałaby mu gwałtem utrzymać hańbiący przydomek „gnuśnego“. Od strony 96 zaczynają się dodatki a jest ich ośm; tutaj roztrząsa autor poglądy swych poprzedników. Wzorowo napisane są te exkursa, po których mniej więcej ośm na niezrozumieniu tekstu lub nakręcaniu opartych hipotez — zdaje nam się na zawsze runęło. Autor okazał w pierwszej tej rozprawie znawstwo tak naszej, jak obcej literatury, (zarzucilibyśmy tutaj tylko cytowanie regestów cesarzy niemieckich wedle przestarzałych Böhmera a nie nowszych Stumpfa: Reichskanzler) — niepospolity zmysł krytyczny, dla tego też z upragnieniem czekamy na zapowiedziane (95 nota 2) dalsze badania nad dziejami Polski w wieku XI. Na zakończenie zwrócić się musimy do zarządu Akademji umiejętności, dla czego też odbitki swe bez karty tytułowej i końcowej wysyła w świat? Robi to bardzo niemiłe wrażenie. Czyby pod tym względem nie można sobie wziąć za przykład wydawnictw Akademji wiedeńskiej?

M.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— W środę debiutowała na naszej scenie artystka teatru krakowskiego pani Julja May w roli Henryki w pięknym ludowym dramacie pp. Cormon i d. Ennery „Dwie sieroty“. Rola ta w wysokim stopniu dramatyczna, którą pierwej u nas grała panna Deryng, nie leży w zakresie talentu debiutantki. Brak jej siły głosu i owego głębszego pojęcia roli, koniecznego do odtwarzania dramatycznych postaci. Ruchom jej brak szlachetności i zaokrąglenia. Natomiast w pierwszym swym występie okazała p. M. znaczną rutynę sceniczną. Sądzimy, że pani M. byłaby pożytecznym nabytktem dla naszej sceny do komedji i wodwilu.

— Na posiedzeniu ces. akademji sztuk pięknych w Berlinie 3 sierpnia nastąpiło rozstrzygnięcie corocznych trzech konkursów. O pierwszą wielką nagrodę akademji kompetowały trzy prace, żadnej atoli jej nie przyznano. Nagroda pierwszej fundacji Michała Beera dla artystów żydowskiej religji nie miała żadnych współzawodników drugą zaś nagrodę tego samego fundatora przyznano rzezbiarzowi Gustawowi Eberlein za płaskorzeźbę. Widać z tego, że sztuka w wielkim niemieckim narodzie, jakoś nie bardzo prosperuje!

— Na miejsce p. Köhlera, który opuścił naszą scenę, zaangażowała dyrekcja do partyj barytonowych p. Verdi, synowca słynnego kompozytora, który w ostatnich czasach występował w Palermo.

— P. Stanisław Dobrzański wyjechał do Warszawy, w celu nabycia od tamtejszych autorów dramatycznych nowości scenicznych i zaaganżowania kilku aktorów.

— W Warszawie uczniowie zmarłego niedawno rzeźbiarza Konstantego Hegla, pp. Rygier, Pruszyński, Syrewicz i kilku innych zebrali fundusz na pomnik dla swego mistrza. Wykonaniem tego monumentu zajmie się b zinteresownie p. Syrewicz.

— W Poznańskiem, w Czerniejewie, hrabina z Lipskich Skórzewska stawia pomnik Onufremu Kopczyńskiemu, autorowi pierwszej gramatyki polskiej. Wielki medaljon z portretem, który ma być umieszczony w pomniku jest z bronzu, cyzelowany w fabryce warszawskiej Mintera, a modelowany przez artystę Andrzeja Pruszyńskiego. Czerniejewo jest rodzinnem miastem Kopczyńskiego.

Podróże.

— Dziennik „Daily Telegraph“ otrzymał od swego korespondenta i podróżnika po Afryce Stanleya po długiem milczeniu (od czerwca 1875) znowu wiadomość, a mianowicie kilka listów, z których pierwszy nosi datę 29 lipca 1875 nad jeziorem Victorja-Nyanza, o ostatni datowany jest z kraju Unyamwezi 24 kwietnia 1876 r. W pierwszym liście z Mahyiga donosi dzielny podróżnik o swojej podróży od króla Mtezasa do obozu w Kagehyi, w ciągu której oddział z ciężką biedą umknął z zasadzki przygotowanej przez krajowców. Badacze znieśli wiele gwałtownych burz na morzu. Druga depesza (15 sierpnia 1875) z Dumo w Uganda donosi o odwidzinach na półwyspie Ukerewa, podróży w Canoes do Uganda i poskromieniu krajowców z Bambireh. Trzeci list (18 stycznia 1876) z Kawange na granicy Unyoro opisuje marsz Stanleya ze stolicy króla Mtezasa do Albert-Nyanza na czele własnego oddziału i 2000 kopijników z Uganda. Wypadki i szczegóły opisane w dwóch ostatnich listach przedstawiają się jako nader ważne dla etno- i geografji. Dnia 18 stycznia przybył Stanley na powrót do króla Mtezasa. W tym czasie drugi podróżnik Gessi przejeżdżał przez Albert-Nyanza i nie wiedział nic o Stanleyu. Ten ostatni był pierwszym, który opisał kraj, przytykający do słynnej góry Gambazagara. Znalazł on tam rzadki, biały rodzaj ludzi zamieszkujący wyżynę. Wielką zatokę, w której wylądował, ochrzcił Stanley „Beatrice-Golf“. Dalsza depesza (26 marca) z Cafurro w środkowej Afryce donosi o wyruszeniu z Uganda, o zbadaniu rzeki Kagera i jeziora Windermere, jakoteż o gorącem źródle Karagwe i zawiera kilka szkiców kartograficznych kraju Victorja Nyanza. Ostatni list (24 kwietnia 1876) z Ubagwe w Unyamwezi donosi o dalszem zbadaniu lądu skąd ekspedycja wyruszy do Ujiji. Zdrowie służy podróżnikom.

Wykopaliska.

— O poszukiwaniach archeologicznych piszą z Podola: „Wspominaliście już o grobie kamiennym odkrytym na Podolu galicyjskiem, w Kociubińcach, a dokładnie zbadanym przez delegata Akademji Umiejętności Kirkora i członka komisji archeologicznej Władysława Przybysławskiego. Obecnie dowiadujemy się od osoby dobrze poinformowanej, że dalsze poszukiwania pana Kirkora, przy gorliwej i chętnej pomocy, oraz osobistem stałem uczestnictwie we wszystkich wycieczkach i badaniach hr. Szczęsnego Koziebrodzkiego dają możność mniej więcej stanowczego zawyrokowania, iż nasze Podole miało własne prastare *dolmeny* i *tamulusy*; że groby kamienne istniały nie w Kociubińcach tylko, ale na całem Podolu, po nad Zbruczem, Seretem, Gniezną itd. Badacze nasi bowiem wykryli dotąd pięć takich grobów w rozmaitych miejscach, a groby te tak dalece do siebie podobne, że nawet wymiary płyt są prawie zupełnie jednakie. Trzy takie płyty z grobu kamiennego ciekawi oglądać mogą w Kociubińcach (niedaleko Kopyczyniec) przy cerkwi miejscowej, oraz jedną płytę do dziś dnia leżącą na niwie Semenowa, pod Trembowlą naprzeciw ruin monasteru. Nie potrzebujemy mówić, jak wielką mają doniosłość w nauce tego rodzaju zabytki epoki kamiennej, a chociaż większa ich część zniszczoną została dziś, gdy i wiedza i poszanowanie zabytków z dniem każdym wzrastają spodziewać się należy, że przy nowych odkryciach zachowane będą w całości. Nasypy ziemi które przed tysiącami lat pokrywały groby kamienne, dawno znikły. Dziś powierzchnia ich czyli wierzchnia płyta (wieko) zaledwie na kilka albo kilkanaście centymetrów tkwi pod ziemią; włościanie orząc natrafiają na nie, a ponieważ płyty duże i do użytku wyborne, niszczą więc grób, płyty zabierają, a sprzęty, oraz przedmioty kamienne zwykle przy nich znajdujące się, pozostają w ziemi. Tak np. wiemy z pewnego źródła, że w jednem miejscu płyty takie z grobu sprzedano żydom na pomniki; w innem ekonom pewnego majątku użył płyt na stopnie przed folwarkiem, tam znów podobnej płyty użyto na grobowiec dla niedawno zmarłego księdza unickiego pod Trembowlą, gdzie płyty nie stanowią rzadkości, rozbito je w kawałki, jedna tylko przypadkowo widać ocalała i jak już wspominaliśmy leży i dziś na polu Semenowskiem. Wartoby i ją zabezpieczyć od zniszczenia. Wiemy o smutniejszym jeszcze wypadku. Na Dźwinogrodzie, w Miodoborach, niedaleko siedziby pustelnika. przed niewielu laty stał posąg kamienny wyobrażający postać niewieścią. Musiała to być t. z. „Baba.“ Leśny Pitauer (już zmarły) rozbił ten posąg i za materjał do pieca użył. Szczęściem ocalał jeszcze jeden, bodaj ostatni w naszych stronach posąg „Baby“ kamiennej, w Babińcach nad Byganką, niedawno odszukany przez p. Kirkora i hr. Koziebrodzkiego. Gdyby przynajmniej ten zachowano od zagłady! Wracając jeszcze raz do grobów kamiennych, zwracamy uwagę, że najprawdopodobniej zabytki tego rodzaju znaleźć się jeszcze mogą w Chorostkowie hr. Siemieńskiego i Semenowie ks. Czartoryskiej. Mamy przeto niepłonną nadzieję, że w takim wypadku znajdą opiekę i zapezpieczenie ze strony światłych właścicieli tych miejscowości. Wycieczki archeologiczne pp. Wł. Przybysławskiego, hr. S. Koziebrodzkiego i Kirkora, w których także brali udział p. Tomasz Horodyski i inni światli obywatele podolscy, będą nie bez korzyści dla nauki. Zwiedzili oni całe niemal wybrzeże, od Okopów św. Trójcy do Podwołoczysk, znaczną część brzegów Dniestru, Cyganki, Gniłej, Tajnej, Seretu i Gniezna wszędzie skrzętnie notując i oglądając zabytki z epok pierwotnych, a niektóre badając przez rozkopywanie. Do najciekawszych należy wyprawa do Miodoborów, przez p. T. Horodyskiego urządzona, w której brało udział liczne grono, a która przy pomocy dwóch żywych świadków wydobycia przed 28 laty Światowita ze Zbrucza, pp. Brzuszkiewicza i Bieńkowskiego pozwoliła najdokładniej skonstatować sam fakt wykrycia tego bóstwa.“

ROZMAITOŚCI.

— Czem więcej zbliżamy się do szczytów Alp, które jakby korony z brylantów zdobią góry wznoszące się nad granicą wiecznego śniegu, tem większa okazuje nam się zmiana roślinności i życia zwierzęcego. Rośliny, które nie znoszą nizkiej temperatury pozostają u stóp gór a natomiast pojawiają się coraz więcej rośliny właściwe klimatom zimniejszym. Fauna staje się coraz uboższą a nareszcie prawie zupełnie znika w tej wysokości, gdzie tylko nagie skały i lodowce pokrywają powierzchnię góry. Ztąd przed naszym wzrokiem rozpościera się obszerny krajobraz na którego krańcach w niebieskawej mgle bieleją odległe lodowce. Nad nami słyszymy donośny i przeciągły świst a wznosząc wzrok w górę dostrzegamy w powietrzu ciemny punkt, który zbliżając i powiększając się daje nam się poznać jako orłosęp brodaty unoszący się w powietrzu. Orłosęp jest największym ze wszystkich europejskich ptaków. Największe okazy mają 4 do $4^{1}/_{2}$ stóp długości a 8 do 10 stóp rozpiętości skrzydeł i ważą 12 do 16 funtów. Dziób dorosłego orłosępa jest $4^{1}/_{2}$ do $5^{1}/_{2}$ cali długi, zakrzywiony i spiczasty. Głowę pokrywają żółtawe pióra a nad wielkiemi bardzo wypukłemi oczami z jasno-żółtą tęczówką okoloną pierścieniem pomarańczowym, rozciąga się czarny pręg sięgający aż ku tylnej części głowy. Pod szczęką dolną ma czarną brodę, grzbiet i skrzydła u góry ciemno brunatne, u dołu zaś jaśniejsze. Uda są pokryte jasnożółtem pierzem, a pazury nie bardzo zakrzywione. Kości jego są tak jak u innych ptaków wydrążone i przez oddechanie napełniają się powietrzem, przez co ptak staje się gatunkowo lżejszym i polot jego łatwiejszy. Nadzwyczajnie silne są jego przyrządy trawienia. Wielki żołądek wydziela ostry sok, który nawet wielkie kości trawi. W żołądku zastrzelonego orłosępa znaleziono raz $6^{1}/_{2}$ cali długie udo kozicy, kość z biodra krowy, ziobro kozicy i pazury koguta. Siła trawiąca soku żołądkowego jest tak wielką że nawet kopyta cieląt i krów rozkłada a trawienie trwa jeszcze przez jakiś czas po śmierci ptaka. Rzymianie znając tę niezwykłą siłę trawienia zażywali (rozumie się, że bez skutku) suszony żołądek tego ptaka jako lekarstwo przeciw niestrawności, albo przynajmniej trzymali ten żołądek podczas objadu w ręce, lecz nie długo, gdyż w przeciwnym razie mógłby pacient ze zbytnej strawności zchudnąć! Kiszkom przypisywali władzę leczenia kolek. Orłosęp wylatuje zwykle rano za zdobyczą, najprzód ku tym miejscom, gdzie poprzedzającego dnia udało mu się co złowić. Unosząc się w powietrzu przegląda okolicę, nagle spuszcza się w ukośnym kierunku na ziemię, chwyta swą zdobycz, którą albo na miejscu pożera albo na skałę zanosi. Lecz tylko mniejsze zwierzęta jako to barany, lisy, świstaki, koty, młode kozy, psy, zające, kury zdoła unieść w powietrze. Większe zwierzęta stara się ze skały strącić w przepaść, co gdy mu się udało, to im najprzód oczy wydziobuje, potem rozdziera brzuch i wyjada wnętrzności a nareszcie kości pożera. Kotom rozbija głowę poczem je od razu połyka. Gniazda swoje urządza na niedostępnych skałach, gdzie 3 najwięcej 4, bardzo wielkie, białe ciemno centkowane jaja niesie, z których jednak zwykle tylko dwa wysiaduje. Pomimo siły i odwagi którą się odznacza, niezawsze mu sie udaje unieść swą zdobycz. W Szwajcarji opowiadają wypadek, że orłosęp porwał lisa i uniósł w powietrze; lis jednak zdołał go uchwycić za gardło i przegryzł je. Orłosęp padł nieżywy na ziemię a lis uciekł, lecz pewnie nie prędko zapomniał przebytą podróż powietrzną. Zdarzają się także wypadki że orłosępy porywają dzieci. W kantonie berneńskim w Szwajcarji wyszła raz trzyletnia dziewczynka z rodzicami w góry na sianożęcie i usiadłszy na ziemi usnęła. Ojciec odszedł niedaleko a wróciwszy nie znalazł już dziecka. Tymczasem usłyszał inny wieśniak z niedalekiego wzgórza płacz dziecka i i spostrzegł odlatującego ztamtąd orłosępa. Wieśniak wyszedł na wzgórze i znalazł na brzegu przepaści dziecko które oprócz lekkich ran na ramieniu i rękach za które pochwyconem zostało, żadnego nie doznało uszkodzenia. Na ludzi dorosłych rzadko się orłosęp porywa i to tylko wtenczas, gdy siebie albo swych dzieci broni, lub też gdy widzi człowieka znajdującego się w miejscu niebezpiecznem, skąd go przez przestrach albo uderzeniem skrzydeł w przepaść strącić się stara. Wyjmowanie młodych orłosępów z gniazda jest bardzo niebezpiecznem, gdyż gniazda znajdują się na bardzo strasznych skałach i zawzięcie bywają bronione. W Szwajcarji wydrapał się góral z wielkim trudem do gniazda, gdzie znalazł dwa młode orłosępy, które właśnie jadły wiewiórkę; powiązał im nogi i zarzuciwszy swą zdobycz na plecy zeszedł ze skały. Na krzyk młodych ptasząt nadleciały ich rodzice, i tylko z wielką trudnością zdołał góral obronić się od nich siekierą, którą ciągle wywijał. Sępy prześladowały go przez cztery godziny przez całą drogę aż do wsi gdzie go nareszcie opuściły. W jeszcze przykrzejszem położeniu znajdował się jeden Włoch który chciał wyjmować młode orłosępy z gniazda. Bracia jego spuścili go ze szczytu skały na linie po nad gniazdo, skąd wisząc w powietrzu wyjął cztery młode sępy. W tej chwili napadły go ich rodzice od których się szablą oganiał, przyczem przeciął przez nieuwagę szablą linę w trzech czwartych częściach jej grubości. Ostrożnie wyciągnęli go bracia na wierzch skały, lecz czarne włosy młodzieńca w przeciągu pół godziny wskutek przerażenia zupełnie posiwiały. Orłosępy bywają często napadane przez inne drapieżne ptaki. W okolicy Zemlina napadło sześć orłów morskich dwa sępy, które się tak dobrze broniły i tak się pazurami w ciała swych nieprzyjaciół zacięły, że cały ten rój spadł na ziemię, gdzie ich pastuch kijem rozpędził. Młode orłosępy wyjęte z gniazda dają się łatwo ułaskawić. Stare zachowują w niewoli swą dzikość lub też stają się lękliwemi. Zajmujące spostrzeżenie robił w tym względzie profesor Scheitlin na dwóch starych w łapkę na lisy złapanych sępach. Jednego z nich przywiązał sznurem do belka, lecz sęp przecinał sznur kilkoma uderzeniami dzióba; poczem go przywiązał na łańcuchu który daremnie przedziubać usiłował. Z początku najeżał pióra na głowie na widok ludzi; później robił to tylko w tenczas gdy kogo obcego zobaczył i rzadko kogo zranił. Wszystko nowe ogladał uważnie. Gdy jego dozorca zbliżył się do niego w ubiorze niezwykłym, to go dopiero wtedy poznawał gdy ten do niego przemówił i dał się temuż głaskać, rozpinać skrzydła i podnosić. Gołębie, które koło niego stawiano nie lękały się go i dawały mu się bez oporu chwytać pazurami poczem im z wielkim spokojem urywał głowę, skrzydła i nogi, rozdzierał brzuch i obskubywał z piór. Mięsa nie jadał naraz więcej jak funt, lubił jednak kości. Wodę i mleko chętnie pijał. Spokojnie siedział po całych dniach na belku, zkąd zniesiony na ziemię dopiero po długim namyśle na powrót tam wylatywał. Gdy mu włożono fajkę w dziób, to ją godzinami trzymał nie zajmując się nią wcale. Muzyka nie robiła na nim żadnego wrażenia. Tylko prześliczne jego oczy okazywały wiele życia, chociaż więcej dzikości niż rozumu. Drugi sęp zachorowawszy wzdychał jak człowiek i pozwolił się pielęgnować. Gdy mu skrzydła osłabły zleciał na ziemię położył się na boku i ciągle wzdychając spokojnie skonał. Inne sępy zachowywały się w niewoli mniej spokojnie, i były żarłoczniajsze i silniejsze. Niewola zmienia bardzo usposobienia orłosępa i robi go prawie niepodobnym do tego, jakim był w stanie wolnym. Do rodzaju sępów należą oprócz tego następujące gatunki jako to: Orłosęp mały (Gyptaetos barbatus subalpinus) mniejszy od orłosępa brodatego żyjący w górach Sardynji, Sycylji i Grecji. Orłosęp zachodni (G. occidentatis) bardzo podobny do orłosępa brodatego tylko mniejszy i mniej drapieżny od tamtego. Zamieszkuje góry połwyspu pirenejskiego. Orłosęp bosy (G. nudapes) i Sępolan wężojad (Gyptogeracus serpentarius) Sęp płowy (V. fulvus.) Scierwnik biały czyli sęp egipski (Neophron percnopterus.) Nareszcie zasługuje także na uwagę Kondor (Vultur gryphus) największy ze wszystkich gatnnków sępów żyjący w Kordyllerach. Wielkości i sile jego nie odpowiada jednak jego odwaga, dlątego też nie porywa się na większe zwierzęta, lecz chwyta tylko młode owce i cielątka a przeważnie żywi się ścierwem. Peruani nie polują na niego ze strzelbą gdy nawet kula jeżeli go ukośnie trafia nie przechodzi przez jego pióra, lecz łapią go w łapki lub za pomocą sznurów które na niego zarzucają. Humboldt opisuje następujący sposób łapania kondorów używany w południowej Ameryce. Wielki kawał mięsa wołowego otacza się płotem; kondory zleciawszy się do mięsa nie mogą od razu odlecieć, nie mając dosyć miejsca aby się przedtem rozpędzić. Wtenczas zabijają je pałkami lub łapią żywcem na sznury.

— Podług doniesień z Beyreuth oprócz licznych gości przybyło tam na otwarcie Wagnerowskiego teatru samych kapelmistrzów blisko tysiąc! Dnia 7 bm. na próbie opery „Walkiryi“ obecny był król Ludwik bawarski, Próba rozpoczęła się o godzinie 5 wieczorem, a skończyła się bardzo późno. O tej próbie depesza telegraficzna „Pressy“ donosi co następuje: „Jakby na samem przedstawieniu tłumy ciekawych zapełniały amfiteatr, który jest szerszy niż dłuższy i urządzony z pewną prostotą tak, że pod względem okazałości równać się nie może z nową operą wiedeńską. Ściany pokostowane są na brunatno, a zamiast lóż ustawione są po bokach rzędy kolumn. Scena jest bardzo przestronna. Za ławkami widzów, wznoszącemi się amfiteatralnie, umieszczone są loże dla monarchów, które przed przebyciem króla Ludwika rzęsiście były oświetlone. Ponieważ publiczność zebrana w teatrze, w mniemaniu, że król wszedł do loży podniosła się z miejsc zajmowanych, wystapił Wagner i oznajmił iż J. K. Mość życzy sobie być niepoznanym. Wszyscy więc znów zasiedli, a gdy król rzeczywiście przybył do loży, pogaszone zostały wszystkie światła w amfiteatrze, zawsze bowiem w tym teatrze podczas przedstawienia dla osiągnięcia tem większych efektów światła na scenie, widzowie pogrążeni będą w zupełnej ciemności. Zaczęła się próba „Walkyryi.“ Dekoracje i cała wystawa wywołać miały wielkie wrażenie, zwłaszcza zaś dekoracje mają być efektowniej malowane niż w wiedeńskiej operze, Z biorących udział w próbie spiewaków podobali się zwłaszcza p. Nieman i Retz, oraz panie Materna i Szeffzka. Orkiestra jest wyborna, a umieszczona tak, że widzowie nie widzą jej wcale. Pomiędzy akten I a II Wagner miał mowę do artystów, w której wyraził, że głęboko jest wzruszony widząc ziszczone swe śmiało nadzieje, zwłaszcza zaś. że powiodło mu się zebrać tą liczne grono najdoborowszych artystów. Z serca dziękuje im za to, a w przyszłości spodziewa się dobitniej wyrazić im swą wdzięczność. Mowę tę artyści zarówno jak publiczność przyjęła oklaskami.

— Szwajcarowie obchodzili w tym roku w mieście Murten czterechsetną rocznicę pod tem miastem stoczonej, która ustaliła niezależność Szwajcarji. W pochodzie uroczystym przyjęło udział osób do 50,000. W tej liczbie zauważano wielu brodaczów szwajcarskich, których brody sobie równych nigdzie indziej nie mają na świecie. Gazeta jedna w Zurychu wychodząca powiada, że brodacze ci pochodzą głównie z kantonu St. Gallen i że broda jednego jest długości 80 centymetrów.

— Nowy rodzaj wycieczek towarzyskich wchodzi w zwyczaj w Anglji, wkrótce pierwszą odbędzie próbę. Towarzystwo dobrane, składające się z kilkunastu osób płci obojej wynajęło sobie na kolei Midland na 14 dni dwa wagony systemu Pullmanna i przez ten czas odbywać będzie nieprzerwanie podróże po całej Anglji, aż ostatecznie zatrzyma się w Edynburgu. Przyjemność wycieczki w tem głównie ma polegać, że podróżni nietylko podług woli skierować mogą swą podróż gdzie im się podoba, ale nie potrzebują wcale zawierać znajomości z hotelami i kelnerami, ponieważ wszystko potrzebne do życia i wygody znajdą w swych dwóch wagonach, z których jeden urządzony jest jak salonik towarzyski, drugi zaś składa się z małych celek, sypialń. Zapasy żywności, kuchnia, służba itp. towarzyszą im, rozumie się w ciągu całej podróży. Zresztą pozostawiona jest podróżnym najzupełniejsza swoboda tak, że np. w razie zażądania tego przez większość towarzystwa pociąg każdej chwili może być zatrzymany, a ciekawi pięknej okolicy mogą odbyć sobie po niej przechadzkę i znów dalej jechać, kędy im się podoba.

Treść Nr. 34.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).